

Na północnych krańcach województwa rzeszowskiego, tuż nad brzegiem Wisły, leży wioska Wrzawy, sięgająca swymi początkami XIV wieku. Równina ta była w 1809 r. widownią krwawej bitwy między wojskami Księstwa Warszawskiego pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego, i armią arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Dnia 18 maja 1809 r. generałowie Michał Sokolnicki i Feliks Rozniecki zdobyli Sandomierz. Jednocześnie dywizja ks. Józefa przeprawiła się na drugą stronę Wisły i zajęła Trześń. Wkrótce jednak nadszedł arcyksiążę Ferdynand z armią liczącą 33 tysiące żołnierzy. Siły polskie były trzykrotnie mniejsze. Od 27 maja do 6 czerwca arcyksiążę bez skutku szturmował Sandomierz. Wreszcie przeprawił swe wojska na drugą stronę i ruszył na spotkanie ks. Józefa. Poniatowski opuścił Trześń, spalił most na Wiśle i zajął Wrzawy. Nadszedł arcyksiążę i przez cały dzień bądź to ostrzeliwał Polaków z dział, bądź też przypuszczał kolejne, lecz bezowocne ataki. 13 czerwca w nocy Polacy opuścili Wrzawy, przeszli przez most zbudowany z galarów na prawy brzeg Sanu i ruszyli na Puławę. Sandomierz był bombardowany przez Austriaków, wreszcie skapitulował. Rycerski arcyksiążę przyjął kapitulację miasta na szczytnych warunkach. Wojsko polskie wyszło z twierdzy z bronią i rozwiniętymi sztandarami. Arcyksiążę niedługo jednak cieszył się zwycięstwem. Losy wojny rozstrzygnęły się na innym terenie. 5 lipca 1809 roku Austria poniosła druzgocącą klęskę pod Wagram.

Świadkiem zmagania obu wojsk na polach Wrzaw był Kalikst Horoch, syn właściciela wioski. Miał on wtedy 9 lat. W pałacu ojca gościł oficerowie polscy, widzieli też otoczonego sztabem ks. Józefa. Szlachetna postać Naczelnego Wodza Wojsk Polskich podzielała na wyobraźnię młodziutkiego chłopca. Wkrótce też wyjechał do Warszawy, gdzie ojciec umieścił go na pensji rektora liceum Bogusława Lindego, twórcy słynnego słownika, mieszczącej się w Pałacu Saskim. Z okien młody Horoch codziennie miał okazję oglądać ks. Józefa, który przybywał do Ogrodu Saskiego na przeglądy i ćwiczenia wojskowe. Horoch wyrastał w atmosferze wielkich wydarzeń historycznych. Widział niedobitki wojsk Napoleona, wracające z wyprawy na Moskwę. Uczestniczył w żałobie narodowej, która ogarnęła kraj po śmierci ks. Józefa w nurtach Elstery. Ojciec Horocha został pośtem województwa sandomierskiego na Sejm w 1818 roku, który zatwierdził wstąpienie cara Aleksandra I na tron polski.

Horoch zapamiętał w postaci ks. Józefa postanowił również zostać żołnierzem. Po zdaniu egzaminu dojrzałości w 1818 r. wstąpił do kwatermistrzostwa armii, jako tzw. nadliczbowy konduktor — bez prawa pobierania. Uczestniczył w pracach kartograficznych. Wtedy to po raz pierwszy zetknął się z carem Aleksandrem. Mianowicie wraz z ppłk. Józefem Valentinem wykonywał plany dróg, którymi cesarz miał przejeżdżać do Warszawy. Plany te musiały być wykonane bardzo starannie, ponieważ Aleksander znał się na kartografii i lubił „ładne rysunki”. Podczas każdej wizyty w Polsce otrzymywał książeczkę z planami stacji pocztowych i dokładnym ich opisem. Horoch opracowywał je przez całą jesień. Wreszcie doczekał się przyjazdu cesarza, którego ujrzał w Hrubieszowie. Cesarz przyjechał wieczorem, zatrzymał się w domu komisarza powiatowego Jerzego Lubowieckiego, na prośbę jego żony trzymał ich dziecko do chrztu, następnie przyjął zaproszenie na herbatę, po czym o północy odjechał, nie rzucając nawet okiem na plany.

Od stycznia 1819 roku Horoch uczęszczał na wykłady wojskowo-

ści, które odbywały się w Pałacu Prymasowskim. Zajęcia prowadzono z matematyki, strategii, fortyfikacji. Strategię wykładał Ignacy Prądzyński, wówczas ppłk. kwatermistrzostwa. Wykłady te ścigały mnóstwo słuchaczy, ze względu na ciekawy i żywy sposób ich prowadzenia, a także fakt, że Prądzyński omawiał historyczne bitwy stoczone przez wojska polskie na przestrzeni dziejów. Wielki Książę Konstanty obawiając się „spisków jakowych” — zabronił wkrótce wykładać Prądzyńskiemu.

Ryszard Dzieszyński

KALIKST HOROCH — ŻOŁNIERZ POWSTANIA LISTOPADOWEGO

W 1820 roku do Warszawy przyjechał na rewii Aleksander. Złożywszy wizytę w sztabie, zastał Horocha pracującego wraz z kolegami nad planem Warszawy. Cesarz oglądał rysunki i pochwalili Horocha za czystość i staranność wykonania. Niedługo potem Horoch i jego czterech koledzy dostali wezwanie do Pałacu Bruchlowskiego, gdzie kwaterował Wielki Książę. Przybyli w galowych mundurach i długo czekali na audiencję. Wreszcie zjawił się Konstanty. Był w dobrym humorze. Gen. Józef Hauke przedstawił mu kartografów. Książę poklepał ich po ramieniu. — „Zuchy — powiedział. — Jesteście oficerami!”

W randze podporucznika Horoch pracował nad mapą Królestwa Kongresowego. Strawił nad tym 6 lat. W 1824 roku ostatni raz ujrzał Aleksandra. Był wtedy świadkiem ogromnej rewii, która odbywała się z udziałem wojsk polskich i rosyjskich pozostających pod komendą Konstantego. Rewia odbywała się w Brześciu Litewskim. Głównym programem rewii były zawody pływackie na Bugu. Horoch na rewii znajdował się w otoczeniu gen. Dove, razem z arcyksięciem Mikołajem, późniejszym carem, a wówczas dowódcą I pułku strzelców pieszych Wojska Polskiego i występującymi w polskim mundurze. Mikołaj nie pozwalał, aby ktokolwiek z kurierów zawoził rozkazy do Aleksandra funkcje te wziął na siebie.

Horoch miał obowiązek po każdej rewii pisać sprawozdanie po francusku, które następnie drukowano i rozsyłano do dworów cudzoziemskich.

W 1826 r. podał się do dymisji i osiadł we Wrzawach, gdzie gospodarował przez cztery lata. O wybuchu powstania listopadowego dowiedział się już 1 grudnia 1830 roku. Dwór Horocha leżał nad samym brzegiem Wisły, tuż przy kordonie granicznym. Nad ranem ujrzał służącego biskupa sandomierskiego Prospera Burzyńskiego, który właśnie wrócił z Warszawy. Krzychał on z drugiego brzegu: „W Warszawie rewolucja, gotujcie broń i kosy!”. W taki sposób Galicja dowiedziała się o szarych w stolicy wypadkach.

Horoch sprawdzwszy wiadomość ze źródeł miarodajnych tj. z cyrkułu w Sandomierzu, ubrał się w stary mundur, zabrał 15 ludzi i 30 koni i uzbrojony przekroczył granicę, po czym ruszył

na Warszawę. Wszędzie po drodze przyjmowany był z entuzjazmem. Oddziałek rozrósł się do 300 ludzi. O jego pochodzie donosiły warszawskie gazety, a gdy wkroczył do stolicy, ludność zgromadziła mu owacyjne przyjęcie.

W sztabie przyjął go stary znajomy, gen. Ignacy Prądzyński. Horoch został odkomenderowany w randze kapitana do gen. Kazimierza Dziekońskiego, organizującego dywizję jazdy sandomierskiej. Prądzyński liczył, że Horoch może okazać się pomocny w ewentualnych kontaktach z rodakami zza kordonu.

Horoch ochotniczo zgłaszał się do patrolowania i wypadów po furaz. W jednym z takich wypadów z oddziałem 40 ludzi przeszedł w nocy po lodzie przez Wisłę, opanował Kazimierz, rozbił 2 plutony piechoty rosyjskiej, wziął jeńców i zdobył magazyn z bronią i żywnością. Ten wyczyn został opisany w prasie warszawskiej i berlińskiej, a ponieważ było to pierwsze po Nocy Listopadowej zetknięcie z wrogiem i pierwszy sukces, toteż Horoch został odznaczony krzyżem Virtuti Militari i przeniesiony do sztabu korpusu. Brał udział w bitwie o Puławę, jako kurier. Po tej bitwie na miejsce Dziekońskiego, przyszedł gen. Jan Sierawski. Niestety, nie okazał się utalentowanym strategiem, poniósł porażkę pod Kazimierzem. Horoch biorąc udział w bitwie jako kurier, przyłączył się do jednego ze szwadronów i postanowił, celem wydoskania się z okrazenia — przepłynąć z nim wpraw Wisłę. Niestety, tylko czterech żołnierzy uratowało się, reszta albo potonęła, albo zawróciła i dostała się do niewoli. Potem Horoch walczył w bitwie pod Wawrem i Dębem, wraz z korpusem gen. Jerzego Chrzanowskiego, w której rozbiło korpus gen. Gołówna. Nieprzyjaciel zostawił na polu bitwy 1000 zabitych i 1200 rannych.

Niestety, siły powstańcze wyczerpywały się, a generałowie unikali bitew, ciągle wierząc w skuteczność układów, które prowadzili z carem. Wreszcie otrzymali odpowiedź od gen. Paskiewicza i Wielkiego Księcia Michała, wzywającą ich, aby zakończyli wojnę, która tyle kosztuje ofiar i zdali się na wspaniałomyślność cesarza. Wezwanie to zostało odrzucone. Horoch jako parlamentarzysta zawiązał odmowę do przedniej straży wojsk rosyjskich, dowodzonej przez gen. Włosowa.

Następnie Horoch uczestniczył w marszu korpusu gen. Prądzyńskiego, liczącego 20 tysięcy wyborowego żołnierza, maszerującego na Siedlce w celu odparcia korpusu gen. Rosena, blokującego dojazd żywności do stolicy. Na pożegnanie Horoch rzekł do gen. Józefa Bema, z którym się przyjaźnił: „Najlepsze wojska odchodzą, kto będzie bronił okopów?”. — „Co ty — odparł Bem. — Moskale nie będą śmieli atakować Warszawy!”. — „Daj Boże, aby tak było!” — westchnął pobożnie Horoch i to było ich ostatnie spotkanie w życiu.

4 września pod wsią Krzynka Polacy weszli w styczność z nieprzyjacielem Prądzyński zawałał Horocha: „Jedź ze mną, zobaczymy piękna szarżę naszej kawalerii!”. Jednakowoż polskie szwadrony szarżowały bezskutecznie na rosyjskie czworoboki. Podczas jednej z szarż dowódcemu szwadronem kapitanowi, zabito konia. Znalazł się między jarami rosyjskimi i uznał się za wziętego do niewoli. Oddał szablę dowódcemu czworobokiem oficerowi, lecz ten wyrwał nagle karabin jednemu z żołnierzy i chciał zastrzelić jeńca. Kapitan rzucił się do ucieczki, a Rosjanin gonił za nim zapamiętałe, machając karabinem, który ani rusz nie chciał wystrzelić. Żołnierze zaśmiewali się do rozpuku i przepuścili kapitana, który szczęśliwie uciekł do swoich.

Judith Wricht (1915)

Ruiny więzienia

Rzędy cel o sufitach z nieba —
to jakby flet dla chciwych warg
wiatru, co z pieczar chmur wypelznął,
by pieśni swe wygrać — pełne skarg.

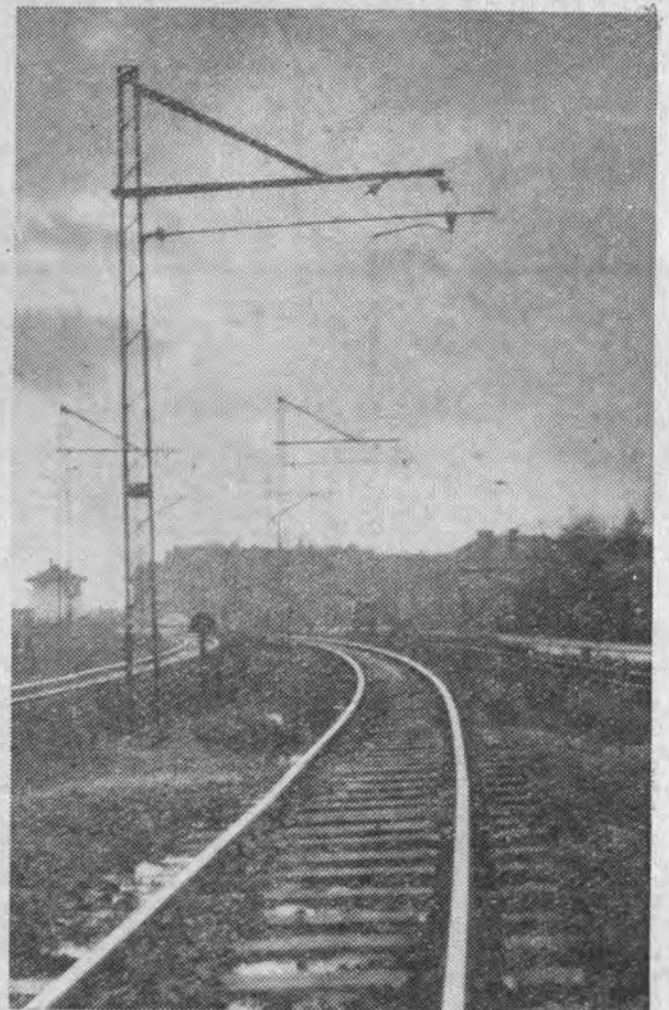
Woda czarna się stała jak rozpacz
i fal żalony słyhać już lament —
to morze dla wiatru, wiatru — solisty,
ofiarowuje swój akompaniament.

W celach upiornie bieleją kości —
ruiny człowiecze w ruinach więzienia.
I rozwiewa wiatr prochy ludzi,
którzy nie mieli nawet imienia.

Oni nie płodzili się i nie kochali. —
Każdy z nich dźwigał swój garb cierpienia
i jęczał tak, jak wiatr jęczy teraz
na tym oto flecie z więziennego kamienia.

Z poezji australijskiej z angielskiego, przełożył

ZBIGNIEW LISOWSKI



ZAKRĘT

Fot. M. KOPEĆ

Wieś rzeszowska w minionym 50-leciu

Komisja konkursowa dla oceny prac konkursu, pt. „Wieś rzeszowska w minionym 50-leciu” ogłoszonego przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Stację Naukową PTH i Powiatowy Zarząd Związku Nauczycielstwa Polskiego w składzie: prof. dr Stefan Ingłot z Uniwersytetu Wrocławskiego i przewodniczący Rady Naukowej Stacji Naukowej w Przemyślu, doc. dr Franciszek Persowski prezes TPN, doc. Franciszek Kotula, dr Aleksy Gilewicz, mgr Wanda Kaput, mgr Stefan Lew, mgr Zygmunt Fejczyński, mgr Zdzisław Konieczny prezes Pow. Zarz. ZNP — uchwałała na posiedzeniu w dniu 23 XI br.:

Nie przyznać żadnemu z uczestników konkursu nagrody I i II. Przyznano nagrodę III za pracę godną „Bandos”, pt. „50 lat gospodarczo - społecznych przemian wsi rzeszowskiej”. Autor mgr Juliusz Petrus. Pozostałym uczestnikom konkursu przyznano wyróżnienia po 1000 zł Godła „Miecz” za pracę „Medyka 1918-1968” autor Mieczysław Krajewski, za pracę „Woliczka — wieś rzeszowska i Dąbrowa — wieś rzeszowska” autor A. Chom-Sokolowska, „Jastkowice — parafianka wieś”, autor Wacław Rębisz.

O wręczeniu nagród zostaną autorzy dodatkowo poinformowani.

5700 tys. widzów w III kwartale 1968 r.

Centrala Wynajmu Filmów w okresie od 1 stycznia do 30 września 1968 r. wprowadziła na ekrany kin 126 nowych filmów, w tym 13 polskich oraz ubiegłego roku 424 tytuły.

Największą frekwencję osiągnęły filmy polskie, bo aż 1628 tys. widzów w porównaniu z takim samym okresem ubiegłego roku notuje się wzrost o 400 tys. widzów.

Do czołówki filmów polskich, które osiągnęły wysoką frekwencję należą „Cztery pancerni i pies” w reż. Konrada Naleźkiego — oglądano go 470 tys. widzów, „Wilcze echa” w reż. Aleksandra Scibor-Rylskiego zobaczyło 70 tys. widzów i „Hrabina Cosel” w reż. Jerzego Antczaka (rozpoczęto eksploatację od września br.), którą zobaczyło 45 tys. widzów.

J.E.

Justyna Woś



Zakinada 1967 r. miała być pierwszym i najzabawniejszym świętem, barwną wizytówką studentów w mieście. Ożyły najdziwniejsze pomysły; chciano przecież na wielkiej scenie miasta pokazać imprezę starą z bogatymi tradycjami, ale akurat dla Rzeszowa nową i młodszą niż mury dwóch wyższych uczelni. Dokonano więc czegoś, co miało przypominać żakowskie igry i to przyniosło niespodziewaną eksplozję. Tu i ówdzie starły się ze sobą — żywił młodych temperamentów i oburzenie opinii publicznej. Rzeszów nie potrafił się bawić, jak np. Kraków z żakami, imprezę obserwowano z pozycji nieufności. Studenci zaś nie wiedzieli jeszcze, że przejęcie „kluczy miasta” jest zobowiązujące nawet w zabawie. Może dlatego przepuścili wiele organizacyjnie ważnych szczegółów; zapomnieli chociażby o plakietkach wydanych specjalnie na tę okazję — odróżniających uczestników od zwykłych przebiehańców, którzy pod studencką firmą mogli narozrabiać bez ponoszenia konsekwencji.

„Prosimy kierownictwo akademika i uczelni o większą pieczę nad uczącą się młodzieżą, o utrzymanie porządku i spokoju tak p o t r z e b n e g o

przecież studiującym młodzieży — alarmuje w listach „kontrola społeczna”.

To wezwanie odnosi się do konkretnego zajścia. Jeszcze raz relacjonuje portierka domu ze studenckiego osiedla:

— To jest krzywdzące tak opisać studentów do „Nowin”. Niech pani o tym koniecznie wspomni, bo ludzie uwierzą, że studenci tylko rozrabiają!

— Ale było głośno?

— Ano pośpiewali trochę — ale to była okazja, obławianie dyplomu! Tyle lat trzeba się uczyć, aby mieć taką uroczystość!...

Oczywiście obserwatorzy z zewnątrz nie mają obowiązku znać przyczyny zajścia, oni oceniają skutek i tu niepotrzebnie studenci dali aż taką szansę tym, którzy swoje spostrzeżenia wyrwyją z kontekstu codziennego życia uczelni, stołówek i akademika oraz problemów, z jakimi boryka się studująca młodzież.

A te kłopoty szczególnie znane są mgr A. Rauchowi, I sekretarzowi KU PZPR w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Właśnie do Komitetu wędrują studenci ze swoimi bolączkami,

żalami, skargami i propozycjami. Pytam więc tu o wizerunek studenta.

— Obserwuję ich ciągle z racji swojej pracy dydaktycznej i działalności ideowo-politycznej. Powiadam: uczą się i pracują nie mniej intensywnie niż stateczni obywatele. Absolwenci nasi w zakładach pracy nie ustępują swoim kolegom z innych uczelni kraju.

Są to ludzie młodzi, ciekawi współczesnego życia, prowadzą działalność organizacji młodzieżowych. Prawda: nie mają gotowych wzorów dla dużej efektywnej działalności, brak oparcia w tradycji. Stąd może trochę kompleksów i potknięć — ale nie w tym doszukujemy się studenckiej specyfiki.

PERPETUUM MOBILE?

Studencki Rzeszów zdecydowanie odcina się od innych środowisk akademickich kraju. Składa się na to wiele czynników: ilość i typ uczelni, liczba studiującej młodzieży i brak tradycji, którymi lubi się szczycić studenckość całego świata.

Ale tak jak wszędzie i tu wstępującym w mury uczelni młodemu ludziom dobitnie powiedziano: skoro dostąpiliście zaszczytu immatrykulacji, musicie się uczyć, uczyć, uczyć... Zagęszczony, czteroletni program studiów Wyższej Szkoły Inżynierskiej goni studentów — średnio biorąc — ponad 40 godzinami tygodniowych zajęć. W nie najlepszej sytuacji są studenci wydziałów ścisłych WSP, mimo 5-letniego programu nauczania. Humanisci także muszą umiejętnie gospodarzyć swoim większym marginesem czasowym, jeżeli chcieliby sumiennie przetrwać tomy z obowiązkowego kanonu lektur, nie zawsze dostępne w rzeszowskich bibliotekach.

Rygor, jaki narzuca z jednej strony program studiów, a z drugiej, sztywny harmonogram zajęć, przekształcił studenta w „wyższ zorganizowany” stereotyp szkolnego ucznia.

— Oni chorują tylko na wielkość. Ale ich jeszcze na wiele rzeczy nie stać — przekonywało mnie w jednej z rzeszowskich uczelni. Wystarczy popatrzyć na działalność ich klubów, niezorganizowane, nieprzemysłane etc.

A studenci mówią:

— Przebudowaliśmy garaż na klub... Czasem jakies spotkanie, w sobotę „mocne uderzenie”, ale w „garażowych” warunkach

„Wuesik” nie może dobrze funkcjonować...

W Wyższej Szkole Pedagogicznej władze uczelniane udostępniły klubowi ładny lokal. Studenci z zapalem przystąpili do mieszania farb, przybijania dekoracji, ustawiania stolików... Były ambicje stworzenia czegoś szczególnego i po prostu powstał klub „Odmieniec”. Na czym polega wasza „odmienność” pytają zwierzchnicy? Studentom i tak znacznie lepiej siedzieć przy kawie w „Kosmosie”! Po co wam klub, aby wyzywać się w sobotnich tańcach? — indagują niekto...

... ze studenci organizują sobie raz w tygodniu zabawy, wydaje się, że nikt nie powinien mieć pretensji. Inna rzecz, że w klubach doszukiwać się nie można osobliwości kulturotwórczych dwóch uczelni, skupiających około 3,5 tys. kształcącej się młodzieży. Nie żąda się od nich od razu „Piwnicy pod Baranami”, „Hybryd”, czy „Kalamburu”. Nie wymaga się też od młodego klubu, aby stał się od razu objawieniem kulturalnym, artystycznym, ale oczekuje się od niego jako takiej rozrywki i chce się, aby stał nieco wyżej jak szkolna świetlica i w działaniu cechował go widoczny pos...p.

W ubiegłym roku na przeglądzie w Opolu teatryków Wyższych Szkół Pedagogicznych i SN-ów, rzeszowski ET CETERA — zespół WSP zajął trzecie miejsce. Scenka — jak widać doszła do jakiegoś poziomu, ale rozpadła się, mimo że organizatorzy są jeszcze dzisiaj studentami. Dlaczego więc zespół nie kontynuuje swojego artystycznego szlaku? — pytam. Usprawiedliwienie jest trochę naiwne:

— Brakuje nam sił, kiedy nasze pomysły spotykają się z biurokratycznymi wymaganiami zwolnień, pieczęci i podpisów. Młodzieżowe inicjatywy muszą długo wydeptywać sobie ścieżki w gabinetach administracyjnych WSP.

Dla odmiany w WSI trwoźnie szepcze się po kątach o purytańskich zasadach J. M. Rektora.

— To prawda. Jestem zwolennikiem dyscypliny — odpowiada Rektor. Student musi spełniać swoje obowiązki. Nie tolerowałem działalności prowadzonej zamiast nauki, a niektórzy aktywiści młodzieżowi nie byli najlepszymi studentami — stąd proszę pani opinia, iż „z Niedzielskim lepiej nie zaczynać”. Nie prawdą zaś jest, że miałbym krępować przejawy działalności ideowej, społecznej i kulturalnej, klubowej. Uczelnia ma nie tylko kształcić, ale przygotowywać do współczesnego życia...

Właśnie. Ale w tym miejscu niejedną raz brakowało płaszczyzny porozumienia. Piszę — brakowało — bo obecna sytuacja narzuca nawet wątpliwym optymistyczniejsze spojrzenie na studencki Rzeszów. Możliwości dla działania jeszcze leżą nie ruszone w miasteczku akademickim; zależy tylko od Rady Mieszkańców jak prowadzone będą: relaksowe audycje radiowęzłów, konkursy, spotkania z ciekawymi ludźmi i dyskusje, a wreszcie turnieje między mieszkańcami domów studenckich WSP i WSI. Ogromną szansę daje utworzenie Uczelnianych Komitetów Współpracy Organizacji Młodzieżowych, które będą rejestrować, ważyć pomysły, wybierać te najbardziej reprezentatywne dla społeczności studenckiej.

REZERWAT PRZY PODKARPACKIEJ

Niedawno, wieczorem po kolacji wracali z Osiedla Piastów, gdzie znajduje się jedna ze stołówek studenckich. W pobliżu Domu Kultury czekała już na nich dobrze zorganizowana grupa „cowboyów”. I dla zabawy — kilku — otoczonych studentów nazwali — Indianami. Zgodnie też z zasadą — zwycięża silniejszy — mocno pobito trzech studentów, którzy dopiero po powrocie do domu studenckiego

Kalikst Horoch — żołnierz powstania listopadowego

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Na drugi dzień Prądzyński znowu kazał ruszyć do ataku. Koło wsi Rogoźnica Polacy starli się z pułkiem gwardii „Lwy Warszawskie”. Rosjanie bili się dzielnie, lecz przewaga polska była duża i pułk wybito prawie co do nogi. Wzięto również do niewoli gen. Werpachowskiego. Znaleźli się żołnierze, którzy pamiętali go z czasów kiedy był instruktorem pułków polskich i znany był jako przyzwoty i ludzki dowódca. Otóż żołnierze ci, wybronił go z rąk rozgorączkowanych w bitwie kolegów, którzy nie darowali nikomu kto nosił rosyjski mundur.

Po tej bitwie Prądzyński przekazał dowództwo gen. Girolamo Ramorino, a sam odjechał do Warszawy. Ramorino przez dwa tygodnie manewrował wojskiem, unikając bitwy, wreszcie 16 września przeszedł przez granicę austriacką, koło Chwałowic, 4 października gen. Maciej Rybiński, ostatni wódz powstańczy przeszedł z 20-tysięcznym korpusem granicę pruską.

Horoch wrócił do rodzinnego majątku. Zajął się działalnością społeczną. Obserwując przebieg

powstania doszedł do wniosku, że wyzwolenie narodowe zależy przede wszystkim od podniesienia poziomu materialnego i kulturalnego chłopów. Ideę tę starał się realizować w swoim majątku. Zwalczając analfabetyzm, zbudował szkołę dla dzieci chłopek, założył szpital we wsi, pomagał pogorzelcom i powodziarom, sypał wały ochronne nad Wisłą. Na cele społeczne przekazał Towarzystwu Dobroczynności 100 tysięcy koron. W 1848 r. wybrano go wiceprezesem Powiatowej Rady Narodowej w Tarnobrzegu. Uczestniczył też w naradach Delegacji Galicyjskiej w Wiedniu oraz w Zjeździe Słowiańskim w Pradze.

W 1878 r. na polu bitwy pod Wrzawami postawił pomnik upamiętniający tamtą chwilę.

W 1880 r. przeniósł się do Krakowa. Założył Towarzystwo Opieki nad Weteranami 1931 r., którego został prezesem i które w dużej mierze subsydiował.

W 1883 roku ufundował płytę na Rynku Krakowskim, upamiętniającą przysięgę Tadeusza Kościuszki. W tym też roku zmarł.

Pozostawił po sobie spuściznę literacką: „Wspomnienia 1809 r.”,

„Pomnik we Wrzawach” oraz „Pamiętnik Kaliksta Narona Horocha, kapitana kwaterymistrzostwa Wojsk Polskich”. Okazało się, że Horoch obdarzony był niepoślednim talentem pisarskim. Jego wspomnienia pisane są językiem prostym, lapidarnym, przypominającym trochę styl „Commentarii” Juliusza Cezara.

Dziedzicem Wrzaw stał się jego bratanek Tadeusz Horoch. Nie miał jednak talentów gospodarskich, pograżył majątek w długach. W 1890 r. sprzedał wioskę handlarzom żydowskim. Tadeusz Horoch urządził pożegnalne przyjęcie dla chłopów pod gołym niebem, ale przyszła burza i przyjęcie nie doszło do skutku. Kilka dni później w pałacowe podwórze zaszedł Ferdynand Kuraś, podówczas 18-letni robotnik zatrudniony przy sypaniu wałów przeciwpowodziowych. Piękny dwór stał opuszczony, ponieważ nowi właściciele zamieszkali w oficynach i stopniowo niszczał. Spacerując wokół budynku, Kuraś zauważył mnóstwo walających się papierów. Były to dokumenty z archiwum Kaliksta Horocha.

RYSZARD DZIESZYŃSKI

mogli złożyć telefonicznie meldunek w komisariacie MO. Innym razem zaatakowano studentów w nowo powstałym miasteczku akademickim w pobliżu ulicy Podkarpackiej. Wśród wzburzonej młodzieży zaczęły krążyć wersje o zorganizowaniu 50-osobowej grupy na odsiecz — jeżeli zainteresowane spokojem publicznym władze nie przyjdą z pomocą. Oczywiście te nieoficjalne wypowiedzi traktują rzecz w kategoriach zabawy z westernu, ale co będzie, gdy kiedyś pomysł ten nabierze realnych kształtów?

Osiedle akademickie zamieszkuje około 1,5 tysiąca młodzieży studiującej w Wyższej Szkole Pedagogicznej i Wyższej Szkole Inżynierskiej. Wziąwszy dwa razy taką liczbę, można byłoby załudnić jedno z miasteczek rzeszowskich. To już jest społeczność, dla której Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne mogłoby uruchomić specjalną linię autobusową łączącą miasteczko z uczelniami, stołówkami i najważniejszymi punktami miasta — ku obustronnej korzyści.

— Z komunikacją jest fatalnie — mówią. Praktycznie korzystamy z „kole” i mniej już z „ósemki”. Ale by dostać się rano do autobusu, w godzinach od siódmej do ósmej — trzeba mieć trochę szczęścia i umieć się pchać — opowiadają studenci.

Można ich właściwie posądzać o skłonność do popadania w przesadę, dopóki nie zobaczy się grupki stojących na przystankach. Jedni jeszcze zdążą dojechać na śniadanie do stołówki przy ul. Obrońców Stalingradu i stamtąd do WSI, inni zadowolą się aż do obiadu kupioną w kiosku bułką. Na Osiedlu Piastów stoją studentki II roku fizyki WSP. Są po śniadaniu, ale jeszcze nie nauczyły się od kolegów wykorzystywać wolnych centymetrów w wypełnionym „kole”. O zdaniu na wykład nie ma mowy. I tak codziennie rano, w południe, gdy ma się godzinę przerwy, jeszcze gorzej wieczorem, gdy na spotkanie przygody wychodzą „cowboy'e”.

Szukając tych „luksusów studenckich”, o których mówią obiegające Rzeszów zdania, znalazłam zawodu. Nawet funkcjonujące dopiero od dwóch miesięcy miasteczko akademickie — kompleks 5 budynków, nie bardzo różni się od standardowych domów studenckich, oddanych w innych miastach dobre kilka lat temu. Rzeszów nie błysnął nowoczesnością ani pod względem rozwiązań architektonicznych, ani wyposażenia wnętrza. Pociągające jest tylko, że nasi studenci mają dokładnie sześć metrów kwadratowych na jedną osobę (dla porównania np. w zespole domów akademickich Politechniki Wrocławskiej średnio przypada niewiele ponad 4 m kw.).

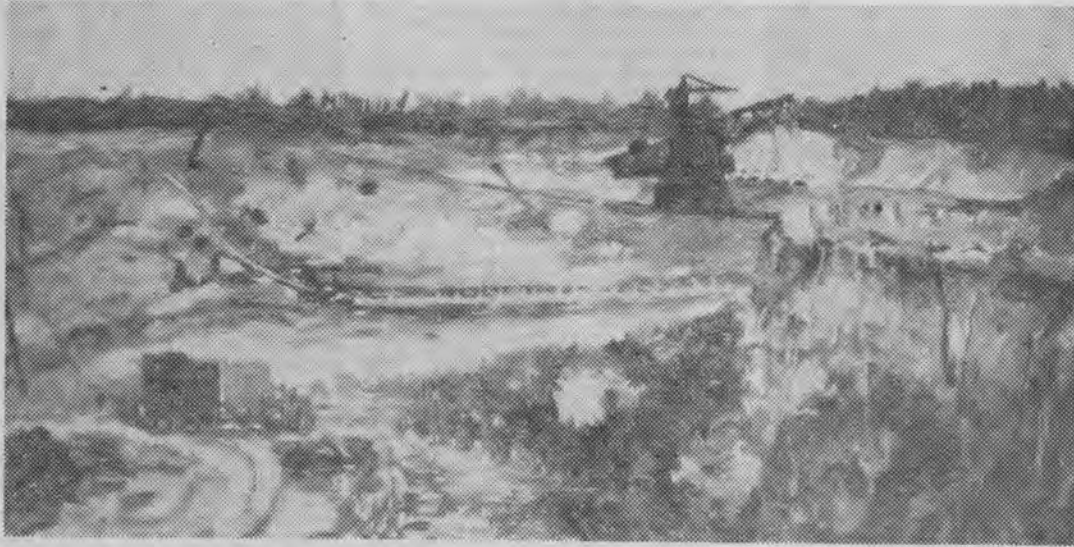
I JESZCZE O CZAPCE

W 1-majowym pochodzie na ulicach Rzeszowa wśród wielu barw i emblematów organizacji młodzieżowych, zwróciły uwagę „odświeżone” białe czapki na głowach przedstawicieli Zrzeszenia Studentów Polskich WSP. Miły i twarzowy akcent studenckości został przyjęty z sympatią społeczeństwa, natomiast w środowisku akademickim rozpadła się dyskusja, „nosić, nie nosić”. Głosy były różne. Na uczelnianych zebraniach nie ukrywano awersji do wszelkiego „umundurowania” — jako pozostałość niechęci do szkolnych tarcz, беретów itp., ale większość wypowiedzi się „podpisywała się” za rogatywkami, które na nowo, szczególnie po wypadkach marcowych powracały w środowiskach studenckich całego kraju.

Na zakończenie chciałabym jeszcze powtórzyć za studentem V roku filologii WSP w Rzeszowie: „Powinniśmy się starać o to, aby i na zewnątrz podkreślać swoją przynależność do mikrosocjety, tym bardziej, że czapka jest naprawdę ładna i czapka by zobowiązywała...”

Jan Grygiel

Owoce społecznego zamówienia



JAN MATERNICKI — „KOPALNIA” — olej.

Przeszło 90 prac z zakresu malarstwa i grafiki w rzeszowskim Domu Sztuki ukazują przemysłowy krajobraz Rzeszowszczyzny. Księżycowe pejzaże Machowa i Piaseczna, patetyczna bryła solińskiej zapory wodnej czy labirynt konstrukcji maszyn i hal fabrycznych po raz pierwszy pojawiły się w takiej ilości w sali wystawowej. Otwarta niedawno wystawa jest bowiem owocem plenerów organizowanych przez Wojewódzką Komisję Związków Zawodowych w miejscach wielkich budowli i w zakładach pracy dla członków rzeszowskiego środowiska plastycznego. Plenery takie w ciągu ostatnich 3 lat odbyły się na terenie budowy zapory wodnej w Solinie, w Bieszczadzkiej Zakładach Przemysłu Drzewnego w Rzepedzi, w Kopalni i Zakładach Przetwórczych Siarki w Tarnobrzegu oraz w Zakładach Przemysłu Gumowego w Dębicy. Brało w nich udział 25 artystów, a powstało w czasie ich trwania około 180 prac. Z tej ilości tylko połowę eksponowano na wspomnianej wystawie.

Wystawa wprawdzie nie przynosi rewelacji artystycznych, lecz większość obrazów rzetelnie i z zaangażowaniem ukazuje przemiany w krajobrazie rzeszowskim, świat maszyn, stali i betonu. Trudno tu szczegółowo omawiać 90 prac 18 autorów. Można jednak z ekspozycji poplenerowej wyciągnąć pewne ogólne wnioski.

Wydaje się, że wielu twórców nie najlepiej się jeszcze czuje w pejzażu przemysłowym. Stąd w większości prace z Soliny i Rzepedzi (eksponowano ich aż 33), zaporę czy kombinat jest jednym tylko z motywów i to drugoplanowym górskiego krajobrazu. Widać z tych płócien, że malarz znajduje się pod urokiem surowego piękna bieszczadzkiej przyrody, i że cały rozgardiasz wielkiej budowy jest dla niego wrętem obcym. Kilka prac znowu ogranicza się wyłącznie do ukazania betonowego kolosa bez prób wtopienia zapory w tło krajobrazowe. Zabrakło w tych obrazach harmonii między dziełem człowieka i naturą, a wydaje mi się, że w Solinie taka harmonia istnieje.

W pracach plenerowych z „Siarki” najczęściej spotykanym motywem są odkrywki z Machowa lub Piaseczna. Istotnie, widok to sugestywny, działający na wyobraźnię. Obnażona, zryta wielohektarowymi wykopami i kraterami ziemia i wśród jej zwałów olbrzymie kroczące koparki, przypominające prehistoryczne zwierzęta.

Na płótnach i w grafikach z dębickiej „Gumy” oglądamy skomplikowany splot kotłów, rur, przewodów układających się w rytmiczną całość. Wielkie ha-

le fabryczne przytłaczają swymi rozmiarami. Sporo w tych pierwszych zetknięciach plastyków z wielkim przemysłem zafascynowania nowością tematu, bezradności wobec obcego świata czy nawet naiwności. Prawie nigdzie nie pokazano człowieka, któremu przecież te urządzenia służą, jego panowania nad światem techniki. Po prostu nie widzi się związku między narzędziami pracy a człowiekiem pracy, dla którego wizje industrialne na płótnach są trochę irracjonalne. Jeśli nawet postaci ludzkie pojawiają się w obrazach, nigdy prawie nie stanowią centrum ich kompozycji — są raczej sztafżem, lub służą przez kontrast do ukazania patosu konstrukcji technicznych.

Nie piszę tego w formie zarzutu. Sprawa odtworzenia w dziele sztuki harmonii między dłońmi i funkcją człowieka pracy w fabryce, a przedłużeniem tych dłoń, czyli maszynami, jest sprawą bardzo skomplikowaną i trudną. Wymaga nieraz wielomiesięcznych obserwacji rytmu pracy i dokładnej znajomości pracującego na jakimś stanowisku robotnika. Wymaga dłuższego oswajania się z nowoczesną zmechanizowaną techniką produkcji i pozbycia się naiwnych fascynacji inteligenta humanisty. Tego trzeba się chyba bardzo długo uczyć i nie wystarczy kilkudniowy plener, by plastyk mógł uchwycić istotę rzeczy.

Prawie wszystkie prace na wystawie są utrzymane w konwencji realistycznej ze skłon-

nościami do naturalizmu z jednej i do niezbyt śmiałej syntezy czy deformacji z drugiej strony. A więc nie w uduwienieniach formalnych należy szukać przyczyny niepowodzeń twórczych w wymowie ideowej obrazów. Rzeczelnemu rzemiosłu artystyczne uczestników pleneru, komunikatywny charakter prac jest wynikiem słusznej reakcji plastyków na zamówienie społeczne ludzi pracy. Te intencje zostały dobrze zrozumiane przez mecenasów, gdyż ósmiu plastyków Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych przyznała wyróżnienia za aktywność i osiągnięcia artystyczne w czasie plenerów (uzyskali je Maria Cichorzewska-Drabik, Zygmunt Czyż, Bolesław Dusza, Cezariusz Kotowicz, Stanisław Kucia, Renata Niemirska-Pisarek, Maria Siteń i Irena Wojnicka-Markielowska). Ponadto zakłady pracy i WKZZ zakupiły 21 prac. Warto podkreślić, iż Zakłady Przemysłu Gumowego w Dębicy, organizator pleneru na swoim terenie zakupiły najwięcej, bo 12 prac, tworząc w ten sposób zaczątek własnej galerii zakładowej obrazów o bliskiej sobie tematyce. Warto, by inne wielkie zakłady przemysłowe Rzeszowszczyzny, jak Huta „Stalowa Wola”, WSK Rzeszów, WSK Mielec, „Siarka”, Fabryka Maszyn w Gorlicach itp. przyjęły współzawodnictwo w tym zakresie. Warto także, by rzeszowską wystawę poplenerową zwiedziły wycieczki z tych zakładów pracy. Można by przy tej okazji wybrać obrazy do zakupu dla

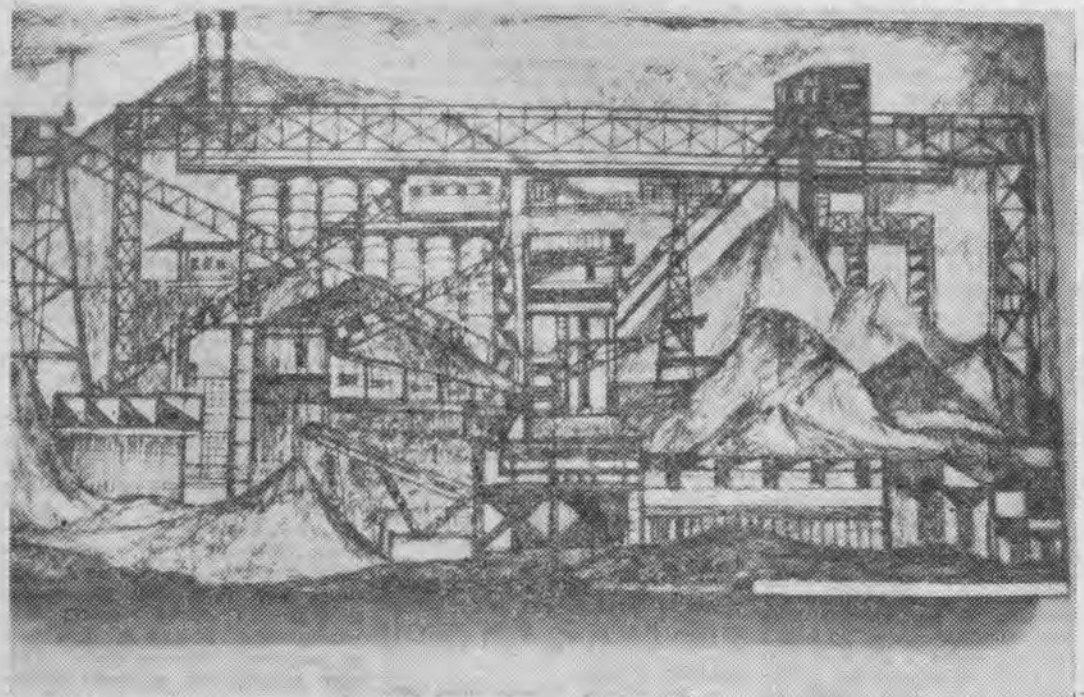
własnych domów kultury i klubów i zorganizować wymianę zdań na temat wystawy z artystykami.

Kilkuletnia tradycja współdziałania rzeszowskich plastyków ze związkami zawodowymi i zakładami pracy przynosi dobre owoce. Świadczy o tym zresztą nie tylko omawiana wystawa poplenerowa, lecz także wciąż rozszerzające się formy zbliżenia plastyki współczesnej do ludzi pracy. Odbywają się często wystawy rzeszowskich malarzy i grafików w związkowych placówkach k.o. i w klubach fabrycznych. Coraz częściej zakłady zakupują dzieła plastyczne. Plastycy biorą udział w kształtowaniu estetycznego wyglądu zakładowych domów kultury i fabryk.

Ale mecenat związków zawodowych i fabryk nad plastyką służy nie tylko upowszechnieniu sztuk plastycznych wśród robotników. Przynosi także bliższe powiązanie twórców dóbr kulturalnych z twórcami dóbr materialnych, oddziałuje na malarzy w kształtowaniu ich społecznej i ideowej postawy, zacieśnia ich kontakt z najświatlejszymi przejawami współczesności, a przez to także formuje ich osobowość twórczą. To jest jedna z ważnych form preferowania i popierania przez naszą politykę kulturalną tych zjawisk artystycznych i ideowych w sztuce, które są szczególnie zaangażowane w sprawy narodu i partii i bliskie rzeszom odbiorców.

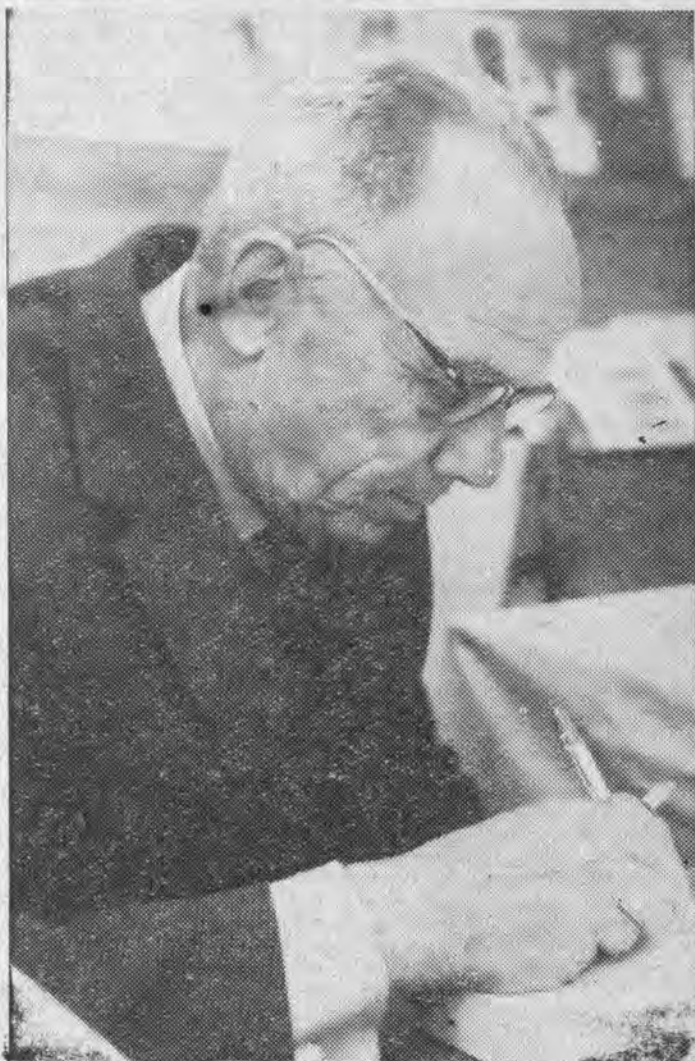
Na pewno wystawa poplenerowa rzeszowskich plastyków będzie również eksponowana w większych ośrodkach kulturalnych województwa i w zakładowych domach kultury. Będzie stanowiła platformę dyskusji i porozumień między twórcami i robotnikami. Na pewno plenery przemysłowe będą organizowane nadal ku obopólnym korzyściom organizatorów i uczestników. W przyszłym roku np. Huta „Stalowa Wola” zamierza urządzić u siebie plener rzeźbiarski dla artystów specjalizujących się w rzeźbie przestrzennej. Zyska na tym miasto Stalowa Wola, jeśli zechce zakupić i ozdobić swoje place i ulice rzeźbami, które plener przyniesie.

Warto te dobre tradycje, które wytworzyły się w województwie rzeszowskim mecenatu przemysłu nad kulturą rozszerzać i intensyfikować. Gdyż to nie tylko mecenat nad plastyką — (ZDK w Stalowej Woli patronuje skutecznie amatorskim zespołom teatralnym z całego kraju, ZDK w Mielcu zaczął organizować ogólnowojejewódzką imprezę folklorystyczną). Trzeba tylko nieco więcej zaangażowania i dobrej woli zarówno u twórców, jak i zakładów pracy, gdyż nie wszyscy dostatecznie wykorzystują szanse dobrego służenia kulturze narodowej.



ROBERT PEŁCZYŃSKI — SOLINA — MŁYNY KRUSZYWA (grafika)

Rozmowy o pracy



Krystyna Świerczewska

Kłopoty księgarskie czyli Agawa syn Pigwy

Dreszcz nami wstrząsa, kiedy na drzwiach sklepu widzimy karteczkę „remanent”, kiedy, klnąc ile wlezie ciągniemy się dalej parę ulic, by kupić jakiś drobiaz, który tu akurat, w tym najmilszym nam sklepie chcieliśmy nabyć. Wstrząsną i mną, bo na 8 długich dni Dom Książki przy ulicy Kościuszki wyłączył się z życia mieskiego owym napisem-postrachem, a ja właśnie w ten niesposobny do rozmów czas, chciałam porozmawiać o pracy księgarza z jego kierowniczką — panią Stanisławą Czeka, córką Franciszka Grzebyka, znanego rzeszowskim bibliofilom od lat. Rzadka to bowiem sprawa, by oboje — ojciec i córka — zgodnie wybierali zawód żmudny, nie nazbyt efektywny, a przy tym taki, o którym tylko wtajemniczeni wiedzą, ile radości nagromadzić w ciągu lat potrafi.

Remanent! Jakże on się odbywa wśród tych 50 regałów i przy 10-tysięcznym księgozbiore?

— Spada jak kłeska dwa razy do roku i przynosi ulgę, kiedy się przezeń przejdzie na następne 6 miesięcy — mówi pani Stanisława w tym pierwszym dniu powrotu do swoich normalnych obowiązków. Jak się odbywa? Po prostu: kładzie się na każdą książkę, książeczkę, broszurkę, bajkę i monotonnie mruczy: trzy po dwa, dwa po cztery, a procesja złożona z koleżanek i komisji powtarza owo sakramentalne „trzy po dwa”, odnotowuje, zlicza i po 8 dniach wiemy, czym dysponujemy i czymy uczciwie być. Trzy książki po 2 złote i dwie po 4 złote, z których kurz półknielśmy uroczyście — są tego jedynym świadectwem...

— Po remanencie winny jednak jak najszybciej zamienić się w złotówki; jakież sposoby Pani na to znajduje?

— Ojciec zawsze mawiał — pamiętaj o grzeczności i uśmiechu! Jeżeli cię bolą nogi — pamiętaj, że z uśmiechem wyglądasz młodziej; jeżeli cię boli serce z powodu nieugotowanej zupy mężowi, z braku czasu dla domu — taktownie nie poruszaj sprawy z czytelnikami. Więc uśmiecham się i wierzę w magię uśmiechu szczerego. A później już łatwiej znieść brak czasu, nieustanna nauka.

Czujemy się przecież, my księżarki, bynajmniej nie sprzedawcami, lecz pracownikami kultury. To też nie umiemy nawet przypuścić myśli, że można pchać w siebie publicznie bułę i po niej tłustą ręką sięgać po nasz delikatny, piękny towar.

— Wspomniała Pani o nauce, a mnie w tym momencie przypomniały się zaspiane oczy pewnego młodego dziewczęcia, oczywiście nie z Pani księgarni, którą znam od lat i lubię od lat, ale także z przybytku książki, które sennie zamykały się, by nie usłyszeć, czy jest Cendrars, Artaud, Wilde. Najwyraźniej puste to były dźwięki dla niej, w które, aż wstyd mi było, ja z kolei wkładałam nazbyt wiele treści i nazbyt wiele wysiłku, by je zdobyć. Jak to jest u was z tą nauką; co trzeba wiedzieć, umieć, czym się kierować, by zdobyć czytelnika, czytelnika przywiązanego właśnie do tej, nie innej księgarni. Myślę, że Pani właśnie mi to zdradzi, bo do was się chętnie wraca...

— Do książki trzeba mieć serce. To najpierw. I o książce trzeba wiedzieć trochę. To też chyba najpierw. A do zawodu trzeba się

przywiązać i być w nim długo.

— Więc może o Pani przywiązaniu i 8-letnim doświadczeniu.

— 10 lat temu skończyłam Technikum Ekonomiczne i zaczęłam pracować w księgowości — czegoś równie nudnego już nigdy później nie znałam. Ojciec był przerażony, że aż tak można nie lubić pracy i wtedy zaczął swoje „dzieło” przekonywania mnie, że istnieje coś tak wspaniałego jak Domy Książki. W dwa lata później miał mnie u siebie, właśnie w tej księgarni, którą mi potem w spadku pozostawił, a sam powędrował dalej — bo muszę pani zdradzić, że ojciec w swej karierze księgarza Domu Książki przewędrował bez mała połowę księgarń miejskich i wyszkolił sporo personelu, dziś już na samodzielnych placówkach. Potem to już było 2-letnie Studium Księgarskie w Krakowie, zaoczne naturalnie i najprawdopodobniej kariera od kandydata księgarskiego po roku pracy, po czterech latach — młodszego księgarza, po siedmiu — księgarza; zostało przede mną tylko jeszcze to, co osiągnął ojciec — a więc zaszczytny tytuł starszego księgarza, który zdobywa się po wystudze 10-letniej. Co robie, by go zdobyć? Studiuję zaocznie na Uniwersytecie Wrocławskim powstałe przy Wydziale Filologicznym Studium Bibliotekarstwa, jestem na II roku i pasjonuję się historią książki, bibliotekarstwa, literaturą. Pasjonuję naturalnie nocami, bo w dzień mam do czynienia z żywą książką.

— Jest Pani jedną z dwóch osób w naszym województwie, pracujących w księgarstwie, które studiuje. Czyżby dlatego zastosowała Pani ten unik nie mówienia o złych kandydatkach na księgarza, które zawodu nie czują, nie uczą się i kompromitują go? Z Pani historii wynika, że zawód wymaga doświadczenia, że zabójcza w nim jakakolwiek płynność kadr, ciągle zmienianie młodego narybku.

— Na pewno, choć ono ciągle się daje we znaki. Dziewczęta młode przychodzą bez żadnego przygotowania i miast je zdobywać — zmieniają pracę. Co prawda ja osobiście byłam w lepszej sytuacji bo pracowałam pod baczna kontrolą ojca, który w niczym nie pozbawiając, jednocześnie o wszystkim szeroko informował — więc nudziłam go w nieskończoność pytaniami. Młodzi ludzie na ogół nie lubią pytać, są przepelnieni fałszywą ambicją, by wszystko wiedzieć od razu i poruszać się niczym Zosia-samosia...

— Być może, nie znają pointy wierszyka tuwimowskiego, przeto skończmy z nimi i mówmy o tym, co zasługuje na miano pracy. O czytelniku-kliencie niezdecydowanym w wyborze — a więc o roli doradcy, o rozległej pamięci księgarza, który musi pomieścić w niej wiedzę z zakresu kilkutyśięcznego księgozbioru; jak to robi?

— Prowadzę największą księgarnię pod względem ilości personelu, jest nas szóstka i zarazem najstarszą księgarnię w Rzeszowie. Przewinę się przez nią dziesiątki tysięcy ludzi; młodych, znawców, tych co pierwszy raz weszli i więcej się pewnie nie pokazali i tych, co pierwszy raz wchodzą, ani się obejrżeli, jak zdobyli pozycję stałego klienta, a nawet „półkowicza”. Czytają wszystko. Żądają czasem rzeczy tak bardzo specjalistycznych, że musimy biec za regał i z szybkością sprintera przebiec hasła w „Słowniku Wyrazów Obcych”, by znaleźć odpowiedź...

Nie ma takiej książki, której by się nie sprzedało, bo nawet dla najgorszej wybije jej godzina i pójdzie na półkę prywatną. Nie istnieje w tej chwili zagadnienie wyboru — tylko kosztu książki. Stąd rodzi się w nas poczucie wielkiej odpowiedzialności, ciężące na doradcach, dużo większe aniżeli u bibliotekarzy, nie musi się bowiem czytać książki wypożyczonej, konieczne trzeba — książkę kupioną za swoje pieniądze. I rodzi się lęk, że zła zachęta, nie trafnie wypowiedziany tytuł prowadzą nawet do utraty czytelnika.

— Oczywiście Pani nie wie, kogo straciła, bo po prostu więcej nie przyszedł; miejmy nadzieję, że niewielu ich było. Wspomniałyśmy jednak o starych „półkowiczach”, tych, których gusty i upodobania czytelnicze zna Pani od lat, którzy niczego, co warte uwagi nie przepuszczą, którzy mają u was w księgarni własne półki, którym książki się odkłada masami do przejrzenia i są tej księgarni wiernymi przyjaciółmi. Czy tacy odchodzą czasem?

— Niezmiernie rzadko, ale gdy zdarzy się taka kraksa, jesteśmy psychicznie pogrzebane, bo od razu rodzi się pytanie: dlaczego odszedł, co złego zrobiliśmy, jakie faux pas popełniliśmy. W tej chwili jest około 40 „półkowiczów” i jest to nasza najmilsza klientela.

— A co czytają, czego nie lubią; o co walczą — co odrzucają?

— Niemal wszystkie dziedziny wydawnicze są na tych półkach: mamy zagorzałych zwolenników dobrej beletrystyki, mamy biologa, dla którego nic co wyjdzie w druku nie może być obce, mamy licznie zainteresowanych psychologią, pamiętnikarstwem, pedagogiką. Ponieważ małe są nakłady, zbyt małe jak na wartość książki — to właśnie półeczka zapewni, że trafia one we właściwe ręce i nie będą zmarowane przez czytelnika przypadkowego.

Czego nie lubią — nie lubią debiutów; są wobec nich nieufni... — Woła po prostu, by książkę sprawdził czas. Ale chyba nie obowiązują to prawo debiutów miejscowych?

— O nie, nie! Bardzo lubimy mieć taki debiut, bowiem rozchodzi się na zasadzie bestsellerów: wszyscy znajomi i znajome kupują jak wodę taką książeczkę, dlatego, że Iksińskiego, że naszego przemiłego Romana Turka...

— To miłe i prawidłowe; zapewne mniej miłe, kiedy wychodzi rzeczywisty bestseller i „nie ma” trzeba powtarzać w nieskończoność, obrażając nim znajomych?

— Wolę nie mówić, jakie to dla nas przykre...

— A młodzież?

— Dzięki niej robimy zawrotne plany finansowe w miesiącach wakacyjnych przy sprzedaży podręczników; dzięki niej narażeni jesteśmy na przykrości związane z niewspółmiernie małą ilością lektur, naprawdę od nas niezależną; dzięki niej zdarzy nam się połamać nieco głowę, gdy na przykład żądają „Agawy syna Pigwy”. Tytuł przez tydzień zaprzęta naszą uwagę, by wreszcie odkryć, że rzecz nosi inną skomplikowaną nazwę — „Odarpi syn Egigwy”...

— Wkroczyliśmy w sferę rzeczy zabawnych, więc nieco zmienię temat i spytam: czy dostała Pani kwiatek od klienta, czy przyszedł kiedy podziękować za książkę?

— Są przemili czasem, przychodzą, przypominają, że właśnie wtedy, kiedy po raz pierwszy podałam im „Agnieszkę córkę Kolumba” zaczęli kompletować księgozbiór. Kwiatek dostawałam raz od pewnej pani spoza naszego miasta, której pomogłam zdobyć tytuł nieosiągalny na jej terenie...

— To są chwile świąteczne, na co dzień jednak jest praca: stojąca, ruchliwa, wymagająca uprzejmości i taktu. I na co dzień jest nauka, polegająca na samokształceniu, zależna od własnej inicjatywy.

— Czytamy wszystko, co można: od katalogów, które zresztą prowadzimy pieczołowicie, już na własną rękę, by mieć przejrzysty obraz polityki wydawniczej, po „skrzydełka” — informacje o książce na obwołucie; próbujemy zawsze nowości wszystkie przejrzeć nawet od strony fonetycznej wymowy nazwisk autorów, by nie udawać, że wiemy, kto to Gericaud, Artaud, Albee, by nie udawać, że ich nie ma, kiedy są. I by unikać rumieńca niepotrzebnego. Czasem wędrujemy także za atrakcyjną książką po województwie; sama przywiozłam ich w tym roku na około 10 tys. złotych z różnych Żołyń, Fryszaków i tym podobnych ośrodków, gdzie nie mają szans na nabywcę.

A w tej chwili kładziemy nacisk na wyeksponowanie książki społeczno-politycznej, bo przecież jest jej dekada. Służę wieloma tytułami, które warto, które trzeba mieć, bo zamykają w sobie całą postępową myśl naukową, cały dobytek rozumu ludzkiego. Ale o tym chyba najpóźniej mógłby powiedzieć już ojciec...

— Bo to właśnie pan Franciszek Grzebyk prowadzi księgarnię nie tylko na jedną dekadę eksponującą ten dział edytorski, ale księgarnię, gdzie można znaleźć przez cały rok wszystkie nowości, pojawiające się na rynku wydawniczym. Znamy ją wszyscy, od chwili kiedy z rogu ulicy 3 Maja i Jagiellońskiej wyparła swoim estetycznym wnętrzem ponury sklep tekstylny. Znamy ją z przeszłej działalności klubowej, kiedy jeszcze jako jedna z niewielu placówek klubowych, prowadziła cykle spotkań z pisarzami, kiedy jedna z niewielu w Polsce zamieniła

się w marszanda-pośrednika między nabywcą a rzeszowskimi plastykami. W ten sposób wróciliśmy, pani Stanisława do spraw rodzinnych...

— Ojciec ma zapewne teraz okres wielkiej prosperity, przeto ogłaszam moim czytelnikom, że nie jestem zazdrosna. Ale też miło by mi było, gdybym nawet po zakończeniu oficjalnej dekady książki społeczno-politycznej zechcieli i u nas jeszcze coś dokupić. W myśl nakazów ojcowych — przyjmę ich z uśmiechem i zadam sobie trud dostarczenia wszystkiego — nawet tytułów, które osobiście nabędę w ojcowym królestwie...

Zatem rodzinnie kończmy rozmowę z panią Stanisławą, jedną z najmłodszych kierowniczek Domu Książki, widzącej od 8 lat swoje miejsce wśród 50 regałów, księgarką z brązową Odznaką Wzorowego Księgarza, wreszcie córką księgarza, który obchodzi 15-lecie swej pracy księgarskiej w tym samym dniu, w jakim obchodził swoje 15-lecie Dom Książki. A już zupełnie na co widzenia, pani Stanisława cicho wyznaje, że jeszcze jest mamą, z której w domu nie ma pożytku, zoną zbuntowanego męża i ze smutkiem mówi o swoim sześciolatku faworyzującym tatę, bo tata jest zawsze w domu...

Ot i uroki zawodu, w którym chce się coś wiedzieć i w którym rumieniec lubi się pojawiać na twarzy tylko w chwilach zadowolienia i komplementu zastyśnionego od czytelnika. Ze z owym rumieńcem „jest do twarzy” pani Stanisławie — mamy szansę sprawdzić bez mała codziennie. Za czym już bezapelacyjnie kończę, prosząc po znajomości o półeczke...

Korespondencje

Czasu budowy ciągu dalszy

„Czas budowy” to tytuł artykułu, w którym poruszyliśmy problemy budownictwa obiektów dla kultury naszego województwa. Mówiliśmy m.in. o powstawaniu gmachu dla Państwowej Filharmonii, Dyrektora Rzeszowskiego Zjednoczenia Budownictwa mgr inż. Waluś w liście do redakcji wyjaśnia obecny zastój prac przy tej budowie.

„Stan robót” — czytamy — nie daje jednak możliwości zamknięcia obiektu i przygotowania go do prowadzenia robót w okresie zimy 1968/69, głównie dlatego, że wykonawca... nie posiada dokumentacji zamiennej konstrukcji dachu.

Dokumentacja techniczna omawianego obiektu była opracowana w 1964 r. w oparciu o obowiązujące wówczas przepisy przeciwpożarowe i stosowane w danym czasie elementy prefabrykowane. Powyższe odnosi się do konstrukcji, która opracowana została w wersji żelbetowej z zastosowaniem płyt aktualnie nie produkowanych (podkreślenie red.).

Opracowanie to obecnie nie spełnia obowiązujących aktualnie przepisów. Nadto projekt techniczny, w części dotyczący konstrukcji stropo-dachu posiadał wady w obliczeniach statycznych.

Projektant, na wniosek Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego został zobowiązany do przeprojektowania konstrukcji tego stropo-dachu z wersji żelbetowej na wersję stalową. Termin zakończenia robót obiektu jest uzależniony od dostarczenia brakujących dokumentacji oraz wykonania konstrukcji stalowej dachu, co planuje się na wrzesień 1969 roku.

Jak widzimy sytuacja jest bardzo kłopotliwa niż ogólnie się przyjęło. Ale trzymajmy kciuki, aby konstrukcja dachu we wrześniu przyszłego roku była w Rzeszowie i wówczas nasi budowniczowie chyba zrobą wszystko, aby w jak najkrótszym terminie gmach Filharmonii mogli przejąć muzycy i melomani.

Ta rozmowa pozostanie niedokończona

Pamięci Władysława Kędry

— Ależ ten Rzeszów leży niedaleko Warszawy — zwykły mawiać Władysław Kędra, gdy spotykaliśmy się w kulturalnych Filharmonii Narodowej w stolicy.

— Ma pan rację! LOT-em tylko godzina drogi. Odległość żadna! Możemy więc powiedzieć, że Warszawa leży niedaleko Rzeszowa.

trwałymi pozdrowieniami pisanymi pięknym, pełnym rozmachu piśmem. Mówi się, że charakter pisma odzwierciedla usposobienie autora. Stwierdzenie to w pełni znajduje odbicie w poniższym autografie.

Władysław Kędra ur. 16 X 1918 r. w Łodzi, w 1937 r. ukończył z odznaczeniem

*skrytka Cyfelnikowa
i Cyfelnikowa, Maria
Prenobich
z wyrazami sympatii
Władysław Kędra
22-8-68*

Parskaliśmy śmiechem po tym sakramentalnym zawołaniu. Kędra zwykle witał się kordialnie, po przyjacielsku. Jego serdeczny śmiech był żarliwy. Wytwarzała się jakaś beztroška niecodziennie piękna atmosfera. Plotkowałyśmy o wszystkim. Władysław Kędra interesował się bowiem każdą dziedziną sztuki, codziennością...

W Rzeszowie bywał rzadko. Na Rzeszowszczyźnie w Iwoniczu — jednak dość często. Przyjeżdżał tu na odpoczynek i kurację. Wracając tym chętniej, że z Podkarpacia wywodził się jego ojciec — Ryszard Kędra, który urodził się w Bóbrce, a w Jasle skończył gimnazjum.

Znakomity pianista niezapomniany interpretator dzieł Szopena, Liszta i Szymanowskiego, ostatni raz koncertował w Rzeszowie późną jesienią 1965 roku. Po próbie z orkiestrą umówiłam się z artystą na rozmowę. Miał niewiele czasu, więc w imię spokoju umówiliśmy się na kawę. Upluwa 15—20 minut od wyznaczonej godziny; pana Kędry nie ma. W chwilę później wpada zdenerwowany i wola, wręczając pęk czerwonych fiołków alpejskich: proszę wybaczyć spóźnienie i skromne kwiaty. Ale to wszystko co udało mi się zdobyć! Czy w Rzeszowie zawsze takie problemy z kwiatami!

Wzruszona wyjaśniłam, że... zawsze! (I tak myślę — nawet dziś, chociaż upłynęły od tamtego spotkania 3 lata i przybyło kilka kwaciarni jest tak samo).

Rozmawialiśmy długo, lecz rozmowy nie dokończyliśmy. Mimo dwugodzinnych pogaduszek zabrakło czasu na wszystkie interesujące nas problemy. „Rozmowa niedokończona” nazwałam ówczesny wywiad („Widnokrąg” nr 44 z 7 listopada 1965 r.). Obiecaliśmy sobie, że tę dyskusję musimy dokończyć, gdy wirtuozowi stanie czasu.

Rozmowa pozostanie otwarta... 26 bm. zamknęły się bowiem karty jego życia. Ale wówczas artysta napisał pozdrowienia dla naszych czytelników — melomanów. Słowa te „nie weszły” do „Widnokregu”. Została blaszka z u-

Konserwatorium i wyjechał na dalsze studia do Paryża, gdzie został uczniem sławnej Margarity Togliferro.

— Jestem jednak — mówił wówczas Władysław Kędra — głównie uczniem prof. Dobkiewicza i jego żony, również znakomitego pedagoga Heleny Kijeńskiej — Dobkiewiczowej. — Ich to zastuga, że dziś w stałym repertuarze mam ponad 40 koncertów. Oni właśnie nauczyli mnie takiej organizacji pracy, że dziś mogę tak szybko opanowywać materiał muzyczny.

Koncertował na całym świecie zyskując szybko tytuł ambasadora polskiej kultury.

Osiągnięcia Władysława Kędry są ogromne, tak samo wielkie w dziedzinie pianistyki jak i pedagogiki. Wiedź w imię zasług, które pozwolił jako profesor fortepianu wiedeńskiego konserwatorium nadać mu honorowe obywatelstwo. Polska znakomitemu artyście przyznała liczne odznaczenia m. in. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski i nadała dwukrotnie Nagrodę Państwową za osiągnięcia w dziedzinie sztuki (1955 r. i 1968 r.).

Odszedł. Chociaż od dłuższego czasu wiadomo już było, że dzień ten musi nastąpić trudno uwierzyć, że Władysław Kędra już nie zagra ani utworów Mozarta, ani Szymanowskiego, ani Beethovena, ani Brahmsa. Nie usłyszymy już sławnej interpretacji dzieł Liszta. Pozostały nagrania radiowej płyty, pozostały obrazki z jego bogatego życia. Pozostały wspomnienia o człowieku, który tak bardzo kochał życie, brał z niego jak najwięcej, a sztuce oddał wszystko. Już w 1965 roku mógł się wykazać ponad 2,5 tys. rzesza uczniów z całego świata. Oni będą godnymi kontynuatorami jego dzieła...

Wielkim przyjacielem Artura Malawskiego był Władysław Kędra. Jego to chciałam prosić, by napisał następny z zapowiadanego cyklu artykułów o dziele i życiu kompozytora rodem z Przemysła. Również tego artykułu nie bedziemy mieli.

MARIA CECYLIA GUZIOLEK

Krystyna Świerczewska

To nic, żem wstrząśnięta do głębi spektaklem Skuszanek i Krassowskiego, który odbył się w dalekim od nas Wrocławiu i zgromadził pół Polski teatralnej. Ostatecznie nie pierwszy to spektakl, który mną wstrząsnął i nie ostatni. Mam nadzieję, przeto nie powód, by akurat tą emocją się dzielić z czytelnikiem. W dodatku nie mającym szans obejrzenia spektaklu. Toteż nie tyle o spektakl sam mi idzie, ile o sprawy dzięki niemu obudzone, o cały bagaż spraw nad jakimi zbyt często zaczynamy przechodzić ostatnio do porządku dziennego, uspieni brakiem podnięt, zramolali w sądach, zachwyceni światem spokojem i własną chwilową rezygnacją z dobijania się o to, co kiedyś mogło stanowić namietną pasję.

Bryll przetrzepuje nasze sumienia jak stare kanapy i temu to zawdzięczam bezpośrednio, że raz jeszcze chce mi się podjąć jeden jeszcze wariant starego tematu, czym może być teatr; bo czym jest — widzimy, czym być powinien — wiemy, Zapewne wiemy — więc rzecz sobie podaruję na razie. Ale żeby mówić z sensem — najpierw choć najkrócej o samej „Rzeczy listopadowej”.

„Jest u nas w kraju jedno święto takie, kiedy się rozumieją Polacy z Polakiem” —

zaczyna swą „Rzecz” autor i od tej pory rozdaje z lekkim szaleństwem, jak to sam wyznał po premierze, na lewo i prawo kopniaki, nie oszczędzając nikogo, bo i siebie. Rozdaje je w dramacie wierszem, pięknym poetycko, wierszem wiodącym swój rodowód z Kordianów, Konradów, „Wesela” Wyspiańskiego. Rozdaje za nie-cnoty narodowe, za lekkomyślność, która kosztowała życia, za obłąd papiania („Każdy trenuje sztukę zwykłego papiania”), za sztukę uników, za belkot o czystych reżyserskich, za skłonność do opery, która najdoskonalej realizuje w swej konwencji tendencję uników i jest prawdziwa — bo najbardziej fałszywa, za śmichy, cyniczne pobrzękiwanie historyczną szablą, za te nasze kozietulskie zrywy niepotrzebne, za powiatowe legendy o sumieniu, za historię, którą stworzyły nam myszy, za moralne zochranie się, za czy — by — nie — zacząć — czego — rozważać, za owo

„My zawsze chętnie postawimy na grzbiecie naszych, naszych dziełów jeszcze jeden kamień. Chętnie pomnikiem nowym zawalimy to gorejące wciąż głupoty znamię...”

Rozdaje kopniaki, bo zwyczajnie, po ludzku boi się, by cechy obronne kiedyś nie stały się cechami zabójczymi, by śmiech okupacyjny, który przetrwać pozwolił, nie zmienił się w śmichy - chichy, by dowcip lat tamtych nie przybrał się w mini-szaty dowcipków, cynicznych porzekadeł, rozmięniających powagę pracy w moralną dezynwolturę przetrwania, byle-przetwania, tumiwisizmu ogólnego.

Taka jest ta „Rzecz listopadowa”, po którą zgłodniałą ręką sięgają teatry polskie en masse — dość powiedzieć, że w dzień po prapremierze wrocławskiej od były się premiery w teatrach Gdańska i Łodzi, że Bronisław Dąbrowski świętował nią będzie 50-lecie polskiej niepodległości i Teatr Słowackiego zapalił się słowami o historii narodowej, które krytycy zupełnie głośno kładą w wyeksponowany krąg

Wokół pewnej prapremiery

tradycji wielkiego romantyzmu i Wyspiańskich nocy listopadowych. To ostatnie być może, jest przesadą, bądź brakiem skromności wobec własnych ocen, ale „Rzecz listopadowa” jeśli nie jest dla mnie „Nocą” — to bodaj późnym wieczorem, bliskim już nocy — jest na pewno.

Skuszanek wespół z Krassowskim zrobili z prapremiery bryllowskiej wielkie misterium narodowe i świetny, dyskusyjny, polityczny teatr, w którym o wielkie, narodowe sprawy idzie. Skuszanek czuje teatr polityczny i jest jednym z niewielu reżyserów polskich, którzy z pasją realizują swoje teorie teatru zaangażowanego od, bez mała, półtora dziesiątka lat. W jej teorii widzenia sceny polskiej załamują się jak w zwierciadle niepokoje z ówczesnych moralistów, z próbami szukania odpowiedzi na nie; splata się polityka, społeczne racje z poszukiwaniami estetycznymi; są wyważone myśli i styl, stopione w całą mądrość, godną szacunku. Poza tym Skuszanek wie jedno, wie zapewne z gorzkiego doświadczenia nowohuckiego, że widza trzeba wychować, by mógł dorosnąć do percepcji właśnie takiego teatru. Więc wychowuje.

I o tym wychowywaniu, o tym nowym widzu chciałam pisać, o mądrej roli pedagoga — dyrektora który nie idąc na łatwiznę, głupie bawienie się w teatr za państwowe pieniądze oraz kosztem dyktanta kłakierów rozbudza środowisko, dzieląc się z nim sztuką, jak pająk chleba, koniecznego do życia. Nie ma w tym czynnie niecierpliwości — lecz spokój człowieka pewnego swych racji, przy tym człowieka, który zabiera teatr do domu i myśli w ciszy nad tym, co sprzedaje publicznie.

Wrocław jest pięknym miastem, o bogatym środowisku. Jest w nim dużo inteligencji. ktoś powie: więc cóż trudnego trafić z mądrym teatrem, trudnym teatrem? Zapewne tak

rzecz widziana wydaje się prosta, ale Skuszanek, powiedziałam, wychowuje widza, więc nie trafia do gotowej, ukształtowanej publiczności lecz sięga po ludzi surowych w sądach estetycznych — po młodzież. I na tej młodzieży, bardzo młodej młodzieży, budując kłębiące się od różnorakich, z narodowymi na czele, problemów, przyszlą, dojrzałą i świadomą publiczność. Nic to, że lata mogą upłynąć, nim ta dzisiejsza widownia dojrzeje; nie — że znowu ona sama może powędrować w Polskę teatralną — zostanie myśl, idea, zostaną wzorce na sposoby przywiązania człowieka do teatru.

Skuszanek, sięgając po młodzież, oparła się na szkolnictwie średnim i wespół z kuratorium wrocławskim zorganizowała nieustający konkurs na najlepsze widza szkolnego. Cieszy się tegorocznym zwycięzcą — jednym z wrocławskich techników ekonomicznych — prawie tak bardzo, jak sukcesem ostatniej premiery. Toteż wszyscy pomagają jej wierzyć, że wygrała, że to była ta najlepsza, bo nie od razu efektywna droga wiązania publiczności z macierzystą sceną. I pomaga jej w to wierzyć sama młodzież. Piękna młodzież, rozbudzona, myśląca, przywiązana do odwagi i szczerości, sztuki mówienia o dniu dzisiejszym.

Konkurs nieustający — jakże się on spełnia? Zwyczajnie, tak jak zawsze myślałam, że spełniać się powinien: robi się premierę rzeczy mądrej (to pierwsza cecha teatru Skuszanek), rozstawia się po premierze krzesła w foyer teatru, na taletkach słone paluszki i wodę mineralną (za pewnie 100 zł polskich), rozszkminkuje aktorów i sadza obok młodzieży, żyjącego autora zaprasza, nieżyjącego prezentuje oceną bezpośrednią świetnego krytyka, samej skromnie pełni honory gospodyni, samej wyjaśnia, komentuje, klóci, gdy zachodzi potrzeba o swoje racje. W sukurs przychodzą władze oświatowe, starzy, wierni sztuce i młowi się, mówi, mówi.

Są w tym mówieniu pytania i żale, jest radość z własnego zrozumienia, o co szło autorom, jest gorący protest czasem, bywają próby recenzji najmłodszych krytyków — uczniów i bywa, jako niedzwony warunek, szczerość.

Widziałam tę jedną dyskusję po premierze „Rzeczy listopadowej”, która była kwintesencją rozsądnej współpracy szkoły z teatrem, już nawet w sformułowaniu tematu: „Teatr a wychowanie obywatelskie”. Słyszałam wizeratora z racjami oczywistymi, że rzecz nie jest dla najmłodszych i tych najmłodszych, którzy z żarem w oku zaklinali się, że nie są aż tak głupi, by nie rozumieć dnia powszedniego kraju i błędów historii, atakowali jak szarża łańska przesady, że sztuka, gdzie pada przekleństwo, nie jest dla nich, sięgając w rozpacz po broń, iż z ubikacjiologii znają przekleństwa najgorsze — tam nieuzasadnione — tu, w sztuce, konieczne, bo mają ów sens bezpośredniego wstrząśnięcia sumieniem.

Słyszałam dziewczynę, która bała się, żebyśmy powszechnie nie zapędzili się w żutek inercji, gadulstwa i żeby nie groziła nam w samouspokojeniu zagłada; słyszałam młodego chłopca, który z goryczą mówił o poczuciu dotkliwym bryllowskiego kopniaka, pytając równocześnie „czy za moje winy”, słyszałam drukarza, który dziękował Bryllowi za poetycką troskę o nasz byt codzienny, słyszałam dziewczynę, która dała najkrótszą analizę sztuki i dowiodła, że idzie w niej o to, ile z przeszłości przeszło do dnia dzisiejszego i przed czym wystrzegać się trzeba jutro, słyszałam recenzję 15-latką, który

(Ciąg dalszy na str. 6)

Autografy polskie na książkach

Biblioteka osobista Lwa Tottoja w jego domu w Jasnej Polanie liczyła w roku 1910, tj. w roku zgonu pisarza ok. 22 tys. woluminów. Częściowo zdewastowana przez wojska hitlerowskie podczas ostatniej wojny wciąż jeszcze przedstawia się imponująco, zawierając książki w 23 językach. W bibliotece tej pokazanie reprezentowane są pozycje literatury w językach słowiańskich, często z dedykacjami i autografami wybitnych autorów. Wśród nich figurują również polonica.

MARIA CECYLIA GUZIOLEK

Stanisław Rams

DROGA

Z Potaczałą, młodym, smagłym kierownikiem, zaglądamy przez brudne okienko do środka kolidy na Muczynem.

— Mówiłem, że nikogo nie będzie! — powtórzył Potaczała, zły jak wszyscy diabli. — Dziś jest drugi poniedziałek, święto bąta.

Kierownikowi nalało się deszczu w czarny, włózkowy swetr. Gumaki mamy utyłane w błocie. Aby dostać się na tę polanę, trzeba było przetrzeć się przez kilka kilometrów rozbranej spychaczami gliny. Na tej właśnie płaszczyźnie, nad potokiem, zatrzymał się front robót ziemnych formowanego szlaku. Pół setki robotników przebijają się przez góry, głębokie jary, bagna, lesistą głąz, jak najdalej na południe. Za rok dotrą do Tarnawy. Później do Bukowca, Beniowej, aż do Sianek na samym cypeku górzystej ziemi. Wzdłuż tej drogi ani śladu ludzkich osad. Jest pusto i mokro.

— Ludzie — mówi kierownik wpadając do śliskiego rowu — są tu z różnych stron. Najwięcej ich z sąsiednich, północnych powiatów. Mają tam małe gospodarstwa, takie ogrzki ziemi. Bąta mamy w Stuposianach. Wstają o świcie, gotują sobie coś do jedzenia. Pracują do wieczora. W niedzielę niektórzy jadą autobusem do Lutowisk, aby w kościółku się pomodlić. Takich grzecznych jest tutaj mało. Przeważnie kompani całą wala do gospody. Raz w miesiącu wyjeżdżają do swoich rodzinnych stron.

— Jest tu u nas taki jeden. Wołamy na niego Szeryf. Miał niegdyś swoją bandę kompanów, ale mu się po trochu wykrużyli. On tylko pozostał. Pili smoki denaturat. Otóż ten Szeryf to wielce ciekawa postać. Od niepamiętnych czasów nosi ogromny, spłowiały kapelusz i finkę w pasem. Teraz trochę wyporządzał, jak się związał z kobietą...

— Przed kilku laty — opowiada dalej kierownik — budowaliśmy drogę w rejonie Smereka. Jak to zwykle zimą, mróz ostry chwycił. Zwały śniegów powyżej pasa. Przez dwa tygodnie głodowaliśmy, odcieci od świata. Ziemiaki w stołówce się skończyły, trzeba było prze-

dzierać się piechotą do Cisnej. Coś koło trzydziestu kilometrów przez lasy ciężkie od zasp, oblodzone połoniny. Moja żona spodziewała się dziecka, bała się zostać w Smereku. Poszła razem z nami. W drodze chwyciła nas śnieżna zawierucha. Gdyśmy do tej Cisnej dotarli nocą, z tobołkami na plecach, okutani w kożuchy, z brodami zlepionymi szronem, ludzie od nas zaczęli uciekać. Wyglądaliśmy niczym banda Hrynia.

Rozmowa skraca czas wędrówki. Pod wieczór znaleźliśmy się z Potaczałą w Stuposianach. Tutaj już mieszkają ludzie. Autobusy łączą wioskę ze światem. Jest na miejscu telefon. Radio. Sklep towarów mieszanych. Światło elektryczne, a nawet szkoła.

Do zbocza Wilczej, niczym gniazda jaskółcze, przylepione są drewniane budy robotniczych pomieszczeń. To baza ludzi budujących drogę.

Odysuseze są zmęczeni

Kierowców tego dnia ogarnął splin. Nie wiadomo, czy smutny listopad tak na nich podziałał, w każdym razie tego sobie pili. Była żytniówka, porter i kaszanka z pachnącą słoninką. Gadać z nimi niełatwo. Poszliśmy zatem do drugiej wsi i czekamy w ciasnej izdebce dozorczy Kusia, aż się rozjaśni na dworze. Zastaliśmy Władka Dudka, twardego bieszczadzowca. Walusia, dziwnego robotnika, który na wszystkie pytania macha ręką na znak zniechęcenia. Poznałszy Dorotkę, zmieniając jej imię przy pisaniu, z uwagi na jej zyciorys bogaty i swoistą filozofię życia.

O każdym z nich z osobna — powieść można napisać. Skąd przyjechał Waluś, jakie bogi w te strony go zagnały, jedynie personalny wiedzieć raczy! Dudka natomiast to szczerza dusza, lubi o sobie gadać. Związał z posterunku pracy. Wystali ich z Wiktoorem Decem na czele do Sokolik. Do Sokolik jedzie się od Stuposian furmanką cały dzień z hakiem, przez dzikie bezdroża. Mieli przetrzeć zapasy drewna po cieżkach sanitarnych, przerobić ten surowiec na

deski, kantówki, krawędziaki. Gdy w przyszłym roku doprowadzą do Sokolik drogę, wtedy te krawędziaki będzie można wywieźć. Ale Dudka po kilku tygodniach też ogarnął splin, więc pożegnał cichaczem Sokoliki. Dec został tam ze swoją grupą, ale czy na długo?

Dorotka lubi płakać i śmiać się równocześnie. Przyjechała tu z dalekich stron, aby przeszłość krótką, lecz intensywną zgubić w bieszczadzkich rewirach. Miała nawet kiedyś chęć uczciwie pracować, do szkoły nawet chodzić; takie pomysły rodziły się w jej główce w chwilach słabości. No cóż, znów nie wyszło. Rysiu ze stołówki ją wykiwał, barmanowi odbił, który ładnie jej płacił, a nawet innym za odstępną pożyczką. Rysiu teraz mówi: pisz na Berdyczów. Dorotka jest młoda, ponętna, ale kierownik innych nie rozumie. Nieromantyczny facet. Powiada do dziewczyny: wynocha! I Dorotka płacze. Wszyscy się na nią zawzięli, czy jak?

Mozaika ludzkich losów. Zawile ścieżki życia, pełne perypetii. Eldorado poszukiwaczy lekkiego chleba. Przysłań cicha niebieskich ptaków. Ale jest też dzień szary, powszedni robociarz. Ciężki dzień z kilofem w dłoni. Od świtu do zmroku. Z miesiąca na miesiąc. Przez lata długie.

— Wy z prasy przedstawicie nieraz życie w sposób uproszczony — mówiono mi kiedyś w ustrzyckim Komitecie. Znacnie tylko czerń lub biel. Jak przodownik, to postać świetlana. Jeśli łobuz — to pod każdym względem. A w życiu tak nie bywa. Te barwy są jakoś wymieszane. Czasem czarny charakter, najgorszy element, staje się tytanem pracy, w trudnych sytuacjach bywa ofiarny i koleżeński. I odwrotnie; kryształowy zdawałoby się charakter rozpryskuje się w drobny mak przy pierwszym zderzeniu z twardą rzeczywistością. Takie jest życie...

Takie jest życie! W rejonie Rozsypańca ciągną ludzie drogę przez bukowy las. Na wysokościach trzeba było wgrzyźć się w kamienne podłoże. W ten prosty sposób odkryto w pobliżu przyszły kamieniołom. Duże będą oszczędności na transporcie surowca. Gawędzimy właśnie o tym, grzejąc się przez chwilę przy ognisku. Majster Staniek wyjaśnia, że zimą, gdy mróz wzięnie ziemię, można będzie przewieźć skalny urobek do miejsc mało dostępnych i grząskich.

Rozgadali się ludziska, ucieśnieni, że ktoś o nich pamięta. Stary Bielawski skarży się na strykanie w kościach. Pójdzie wnet na emeryturę. Sześcioro dzieci wychował, na ważnych urzędach siedzą; po całym kraju się rozbiegli. Jedyne on z żoną pozostali w Starej Wsi na wąskim zagonie, w powiecie brzozowskim.

Bielawski, młody Froń z Bliźnego, ziomkowie — Gołąb, Ziemiański, Nogaj, chłopcy żonacie i dzieciacie — harują na akord — grosz w chałupie pilnie potrzebny. Warczą w pobliżu spychacza, ponarżkać przeszkadzają. A jest o czym mówić. Kasjerka od dwóch miesięcy nie wypłaca im rozłakowego, bo coś tam urzędniczy w papierach pocygnili. Śniadań stołówka nie gotuje, w sklepie zaś trudno coś tańszego do zjedzenia kupić. Jakies kino objazdowe by się przydało czasem, albo telewizor, bo rozrywki żadnej nie ma.

Są to prości zmęczeni, ciężką pracą, nieobecnością wśród bliskich. Warunkami egzystencji. Ale zostawiają po sobie drogę. Pionierzy przyjdą dopiero później w te strony, po tym właśnie gościńcu, który jest w stadium tworzenia. Na zboczach i polanach gojących zazielenią się pola. Przyjdzie czas, kiedy wy-



Fot. M. KOPEC

rosną domy. Ogródki przy wendorach zakwitną słonecznikami.

Tak będzie kiedyś. Obecnie jest cicho. Szum potoku wzmacnia melancholię jesiennej szarugi.

Kompleks żołnierza

Jak będziecie kiedyś w Lutowiskach, zajrzyjcie do gospody pod „Zubrem”. Tam przy barce zastaniecie człowieka w waciaku, który lubi pić samotnie. Jeśli się wam poszczęści, niejedno opowie. Nie zawsze był budowniczym dróg na leśnych wertepach. W mundurze wiarusa niosła go fala wojny od rosyjskiej Oki po niemiecki Berlin. Snił o buławie, a może tylko o tym, żeby głowę całą unieść z tej zawieruchy? Ale zawsze czuje się wojakem. Nieraz potrafi wyrwać się baru, ze szlachetą w przydrożnym rowie się przyciąć, atak pozorując na ruchome obiekty w terenie. Jego donośne „ta-ta-ta” rozległa się po okolicy, przy wtórze rozbawionej gawiedzi.

Tutaj wszyscy czują się po trosze żołnierzami, postawionymi na odległych posterunkach. Pracują zresztą razem z kompanią wojska, dowodzoną przez dziarskiego sierżanta Paska. Polecenia mają formę lakonicznego krzyku. Meldunki są zwięzłe. I komplementów nikt sobie nie prawi. Rozkaz to rozkaz!

— Jesteście żołnierzami, postawionymi przez władzę na trudnym posterunku! — woła na zebraniach załogi brodaty dyrektor Gołębiowski.

— Historia o was nie zapomni! — wtóruje mu sekretarz Hędrzak. — Wytrwajcie, bezimienni bohaterowie frontu wielkiej pracy!

Owszem, są jeszcze tacy, których patos słów grzeje. Ale w tym świecie zimnego konkrutu, ekonomicznych refleksji, bardziej butni po prostu pytają: za ile opłaca się tutaj pracować? Czy nadal będzie utrzymany dodatek bieszczadzki do pensji? Jakie bodźce ekonomiczne zostaną uruchomione, aby sprzyjały procesom aktywizacji tych ziem? Górzysty region woła o koncentrację sił i środków. Potrzeba jest wśród tych gór wiele milionów na kompleksowe budownictwo całych wiosek, nowoczesne urzędnicze, gdzie obok murowanych domów stanąby równocześnie sklep, szkoła, żłobek, klub i biblioteka, kino i przystanek autobusowy. Wielkie połacie lasów czekają daremnie silnych rąk. Dziesiątki tysięcy hektarów gruntów rolniczych można byłoby obsiać zbożem.

— Uciekają! — smuci się dyrektor Gołębiowski, targając nerwowo swoją apostołską brodę. — Po prostu uciekają! Przedsiębiorstwo liczy sześćset pracowników, a przydałoby się drugie tyle.

Jego Zarząd Budownictwa Leśnego w Ustrzykach Dolnych obejmuje swym działaniem całe Bieszczady. Załoga wybudowała ponad 600 obiektów gospodarczych, osad robotniczych, leśniczków, innych urzędzeń zaplecza gospodarczo - technicznego. Wśród leśnych połaci powstało 120 kilometrów dróg. Uruchomiono transport kolejowy na li-

nii 70 km od Moczarnie do Rzepedzi. Wartość ogólna dotychczasowych przedsięwzięć wynosi 700 milionów złotych. W przyszłej pięcioletniej ow wysiłek będzie podwojony. Kto ma to robić? Ludzie uciekają!

Załoga jest rozrzucona w promieniu dziesiątków kilometrów. Drobne, odosobnione grupy pracują z dala od siebie pod wodzą swoich kierowników. Organizują życie własne na miejscu. Raz w miesiącu zjeżdżają się szefowie do Ustrzyk na wojenną odprawę: Nowotarski z Jabłonka, Mielniczek z Arłamowa, Rusinek z Raboga, Bruzda z Załwarczy, Potaczała z Tarnawy, Mrozek z Majdanu, Augustyn z Rymanowa i jeszcze inni.

Teren melduje: — Dlaczego ciągle brakuje środków transportowych!

— Jak budować, skoro nie ma budulca? Cementu dostarczono trzykrotnie mniej, niż potrzeba. Z cegłą dziurawką jeszcze gorzej. Brakuje wapna!

— Punkty zaopatrzenia nie zaspokajają w pełni potrzeb konsumentów! Brakuje chleba, wędliny, napojów!

Poprawić wreszcie standard kwater robotniczych. Kiedy u licha skończy się ta prowizorka?

Obrazy trwają. Atmosfera ciężka od oskarżeń. Wczoraj przyszedł telefonogram z Warszawy: zacząć wydawanie bezpłatnej, gorącej zupy dla robotników! Co oni sobie myślą tam w ministerstwie? Z wiadrem gorącej grochówki tachać dwadzieścia kilometrów w głąb leśnych bezdroży? Zupę trzeba mimo wszystko wydawać, bo im się należy — oponują ci z partii. — Można dowozić w termosach. Kupić termosy, albo na miejscu odgrzać przy ognisku. Dyskutaneci wadzą się o każdy szczegół. O drobiazg. Temperament mówców ponosi.

W polemicznym ferworze rodzą się niezłe pomysły. Według dokumentacji, gniewny Wołosaty miał dostać w prezencie trzy mosty. Nie dostanie tych mostów! Skasuje mu się liczne zakola, niech pędzi prosto w dolinę na złamanie karku. Czysty zysk wyniesie kilkaset tysięcy złotych. Można za to wybudować inne obiekty. Albo na przykład projekowany szlak Rabe — Mikołów; jeśli zaniechać niektórych serpentyn, wyprostować drogę, to zarobi się na tym pół miliona złotych. Podobne oszczędności będą w rejonie Arłamowa, Jamna, Trójcy. W tym roku takie pomysły przyniosą niemal dwa miliony złotych oszczędności. Warto więc pokręcić głową, a nawet posprzeczać się w kolektynie.

*

Paluszyński i Rolski, dwaj inspektorzy, przyjechali w głąb Bieszczadów, by drogę nową nakreślić na planach. Za kilka lat, nowe pasmo gór, potoków i grzędzawisk zostanie przecięte kamienną wstążką. Pojawia się na niej ciężkie samochody z drewnem. Turyści na rowerach. Osadnicy z dobytkiem. Pasterze z czeredą owiec.

Ale potrzebni są również tacy inspektorzy, którzy by potrafili nakreślić ludzkim kolektywom dobre ścieżki godziwego bytowania.

STANISŁAW RAMS

Wokół pewnej prapremiery

(Ciąg dalszy ze str. 5)

twierdził w niej, że trzeba historię rozumieć sercem, nie czyniąc z niej uładowanej makiety faktów i ciesząc się wraz z nauczycielką — polonistką, gdy czytała prześwietną recenzję swego ucznia, który w spotkaniu nie uczestniczył. Widziałam twarz Skuszanki wzruszonej, że swoim spektaklem spowodowała te wyznania; widziałam Bryllę dziękującego młodym, rozplomionionego ich żarliwym stosunkiem do jego pracy, widziałam najczystszych krytyków, skromnie milczących przy uczniowskiej, szkolnej analizie sztuki. Cytuję ich dosłownie, było ich bardzo wielu, przyprowadzi mi o zdumienie, gęsią skórę, nieznanne wzruszenia. I o szewską pasję, że musiałam wyjechać do Wrocławia, by ich usłyszeć.

Toteż przetrzepana, niczym puf w mieszczańskim domu, odkurzona, powieszona na trzepaku, oddychająca świeżym, ożywczym powietrzem tego foyer — ślubowałam sobie skrycie choć częstokroć atmosferę sprzedac rzeszowskiemu środowisku. By po prostu przypomnieć, w czym może być teatr. głośno krzyknąć — czym być

powinien, bo za często zdaje nam się, że wiem, czym jest i nazbyt wielu pseudo-koneserów wokół. Bo teatr — to nie żadne, fiu-będzi, żadne śmichy-chichy, jak mówił wzruszony i podkascytowany, i szczerzy Bryll, ni żadne cipilipci — jak zwykły był mawiać z upodobaniem wielki krytyk Irzykowski. Bo teatr — parafrazując innego wielkiego, gorzkiego, współczesnego Gałczyńskiego — sercem tylko można zapalić. I jak mawiam ja — przeprasząc za nieskromność, że pozwalam sobie na własne zdanie w tak świetnym towarzystwie — rozumieć.

Kiedy tak powtarzam to za nimi, wielkimi, głośno — zaraz mi lżej i czuję się święcie przewietrzona. Tym bardziej, że udało mi się rzecz powtórzyć w listopadzie, a więc u progu sezonu, a więc w porze, kiedy jeszcze czas nie słuchać beznadziejnego narzekania, że nie ma polskiej sztuki współczesnej, kiedy w jednej z nich słyszę złowieszco — drwiące stwierdzenie, iż listopad jest w ogóle niebezpiecznym miesiącem dla Polaków i... jedynym „kiedy się rozumieją Polacy z Polakami”.

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

● KORESPONDENCJE ● POLEMIKI ● DYSKUSJE ● KORESPONDENCJE ●

Iwonicz-Zdrój - Rymanów-Zdrój i okolice

Droga Redakcjo!

Przed kilku dniami sprawilem sobie za 10 zł nowo wydaną książeczkę — przewodnik pt. „Iwonicz-Zdrój — Rymanów-Zdrój i okolice”. Czekalem na ta publikacje juz od dawna, bo wiedzialem, ze ma sie ukazac i wypelnic luke istniejaca w tej materii od dobrych paru lat. Oczywiscie, przeczytalem ow przewodnik natychmiast „od deski do deski”, bo to i serce lokalnego patrioty chcialo sie naciesyc slowem pisanym o naszym „Kopciusku” i poglabic wiedze, jako ze jest sie terenowym przewodnikiem PTTK-owskim (po odpowiednim egzaminie wojewodzkiem).

Otoz po przeczytaniu owego przewodnika, ktorego autorem jest p. Jan Rab (Wyd. „Sport i Turystyka” 1968 r.), zgłaszam od razu dwie zasadnicze pretensje:

Po pierwsze, autor rolnie potraktowal Iwonicz i Rymanow, uwazajac, ze dla Rymanowa-Zdroju szkoda bylo tyle czasu poswiecac co Iwoniczowi, czego dowodem jest 77 stron tresci dla Iwonice i 27 dla Rymanowa-Zdroju. Zgadzam sie w zupelnosci z tym, ze nasze uzdrowisko nie cieszy sie taka slawa co Iwonicz (przynajmniej nie byl tak znany w przeszlosci), jest mniejszy i nie ma tego rozmachu budowlanego, co aktualnie Iwonicz, ale historia Rymanowa-Zdroju jest od iwonickiej historii w zasadzie tylko o 40 lat młodsza i gdyby sie chcialo, to mozna bylo o historii Rymanowa-Zdroju napisac rownie rzetelnie, jak o Iwoniczu. Walory leczniczo - klimatyczne - wycieczkowe naszego uzdrowiska nie

są absolutnie ani mniejsze, ani gorsze od iwoniczkich, zeby to malo stanowic powod traktowania po macoszemu Rymanowa-Zdroju, tym bardziej, ze uzdrowisko jest na dorobku i jemu szczegolnie potrzebna jest dobra reklama, zdrowa propaganda i rzetelna, prawdziwa informacja.

I tak oto wyplywa druga pretensja, o wiele powazniejsza od poprzedniej. Rzetelna informacja, to podstawowe prawo dla piszacych przewodniki. Poniewaz w pracy p. Raba, w czesci poswieconej Rymanowowi jest az za duzo roznych nieosciosci lub wręcz nieprawdziwych informacji, pozwole sobie wymienic je strona po stronie.

A wiec czytamy: na stronie 29 w rozdziale „Dojazdy” odleglosc z Rymanowa-Zdroju do Brzozowa wynosi 27 km a nie 36 km, jak podaje autor i czas dojazdu nie 1,23 godz., lecz okolo 50 min. W tym rozdziale bezposrednie dojazdy PKP nalezy uzupelnic o Katowice.

Na tejze str. 29 w rozdziale „Położenie uzdrowiska” mylna informacja, ze rzeka Tabor (Morawa) wpada do Wisloki, a nie do Wisloka.

Na str. 30, w rozdziale „Klimat” autor podaje, ze masy cieplego powietrza naplywaja tutaj rowniez od Przelezy Lupkowskiej, a wiadomo, ze jesli tutaj wieje od poludnia to tylko od Jaslisk i Przelezy Dukielskiej.

Na str. 31 w rozdz. j.w. czytamy, ze ruchliwosc powietrza jest wieksza w Dolinie Czarnego Potoku niz w dolinie Taboru, a jest zupelnie odwrotnie, bo o ile w dolinie Taboru odczuwa sie, jakze czesto „dukielskie przeciągi”, o tyle dolina Czarnego Potoku jest niemal bezwietrzna.

Na str. 32, w rozdziale „Dzieje Rymanowa” czytamy, jakoby Zie-

mie Sanocka zamieszkiwali obok Polakow — Rusini, Węgrzy, Wiosli. Jednak nie Wiosli, prosze autora, lecz Wolosi, (czego przykladem jest np. nazwa dawnej wsi w tut. okolicy „Krolik Woloski”).

Na str. 34, w rozdz. j.w. czytamy, ze z Rymanowa pochodził znany księgarz krakowski Mikołaj Wechter (I poł. XVI w.) natomiast w przewodniku p. Stefana Stefańskiego „Sanok i okolice” imię owego księgarza brzmi Michał, a w porównaniu obu przewodników widać dość wyraźnie, że p. Jan Rab w opisie historii Ziemi Sanockiej, opiera się na pracy p. Stefana Stefańskiego.

Dalej, na str. 35, w rozdz. j.w. autor podaje, ze lazienki i znaczna czesc budynkow zdrojowych splonela dwukrotnie przed I wojna swiatowa, a mianowicie w r. 1913, a nastepnie w 1914. Wyjasniam, ze wymienione obiekty splonely tylko raz w 1913 r. i prócz lazienek nigdy nie byly odbudowane.

Na tej samej stronie czytamy, ze sezon trwal od 1 maja do 20 pazdziernika, a faktycznie trwal do 30 wrzesnia; ze ordynowalo tutaj 4 lekarzy, skoro naprawde ordynowal 1 (jeden); ze przed 1937 r. zbudowano tutaj m. in. dom zdrojowy, który naprawde zostal zbudowany jeszcze w 1889 r. i nosil pierwotnie nazwe „dworca gošcinnego”.

Na str. 37 w rozdz. „Perspektywy rozwojowe” autor pisze, ze w 1968 roku rozpocznie sie budowe nowoczesnego sanatorium dziecięcego na 300 lozek i nowoczesnego domu zdrojowego. Rozpoczeto juz budowe „muszli koncertowej”, gwoli ścislosci i prawdy wyjasniam, ze w tym, 1968 r. nie sie nie rozpoczeto budowac, a juz najmniej ową muszle koncertową. Nie ma rowniez w budowie, jak pisze autor, 4 basenow — brodzikow dla dzieci. Oczywiscie wszyscy tutaj czekamy i wierzymy, ze wymienione obiekty beda zbudowane, ale tak na kredyt nie powinno sie pisac.

Na str. 92, w rozdz. „Przechadzki po Rymanowie-Zdroju i wycieczki w okolice” autor zmniejszył ilosc domkow campingowych z 15 na 10 oraz pominal, ze w willi „Golabek” mieści sie jeden z najwazniejszych dzialow przedsiebiorstwa. a mianowicie dzialu lecznictwa.

Na str. 94 na mapce orientacyjnej uzdrowiska brak konsekwencji w nazewnictwie poszczegolnych sanatoriow stosujac nazwy zarowno z okresu miedzywojennego, jak „Teresa” czy „Leliwa”, jak i aktualne, jak sanatorium im. Krasickiego. Wyjasniam dokladnie, ze sanatorium nr I to „Eskulap” z zakladem przyrodolecznictwa; sanatorium nr II (dawna „Teresa”) to sanatorium im. H. Sawickiej, a sanatorium nr III (dawna „Leliwa”) to sanatorium im. M. Fornalskiej.

Na str. 96 autor informuje, ze na szczycie „Suchej Gory” znajduje sie wieza widokowa. Przypuszczam, ze albo autor nie zorientowal trasy spaceru z mapą, albo tam nie byl, poniewaz wieza widokowa znajduje sie na sasiedujacym z „Suchą Górą” szczycie o nazwie „Mogila”, skąd na Suchą ok. 40 min. marszu.

No, ale na pewno nie byl autor przewodnika na szczycie gory „Zamczysko”, o której pisze (cytuje): „Na szczycie tej gory polozonej na wschod od Zdroju zachowaly sie ruiny zamku obronnego z XIV w.” — jako żywo, tam nie tylko nie ma ruin, ale nawet po nich śladu i to od wielu, wielu lat, bowiem kamien z murów obronnych owego zamczku zabrano na budowe kościoła w Rymanowie mieście, jeszcze w drugiej polowie XVIII w.

Niemniej szokujaca jest informacja na str. 103, ze kilka kamienic rymanowskich pochodzi z XV w. Obiektem tym autor dolozył od siebie 350-400 lat istnienia.

Miejscowosc Jasliska to nie miasteczko, lecz wieś bo prawa miejskie Jasliska utradyl w 1934 r. (ze str. 103).

Muzeum Budownictwa Ludowego nie znajduje sie w Olchowcach, jak czytamy na str. 106, lecz w dzielnicy Sanoka — Biala Gora.

Na str. 107 podaje autor, ze sanockie muzeum historyczne posiada jedyna w Polsce kolekcje lkon cerkiewnych, ale ja mam watpliwosci co do tego, bo takie kolekcje ma tez Przemysl i chyba Lancut (ten ostatni chyba jeszcze nie eksponuje zbiorow).

Dla uzupelnienia powyższego wykazu, podaje jeszcze, ze wyduje sie nieprawdopodobne, by sanatorium „Excelsior” w Iwoniczu posiadalo az 400 pokoi (str. 24). Jak rowniez nieprawdopodobna jest cyfra 5000 km kwadratowych, okreslajaca na str. 54 obszar „Doliny Smierci” koło Dukli. Akurat tyle kilometrów kw. mala powierzchnia calej, historycznej Ziemi Sanockiej, obejmujaca kilka calych dzisiejszych powiatow.

Nieście jest uwazanie Lemkow za przybyszow woloskich, jak czyni to autor na str. 61, natomiast blizsze prawdy bylo by chybca stwierdzenie, ze Wolosi byli jedną z nacji (obok Ukrainow, Polakow, ewentualnie Slowakow), które zlozily sie na powstanie ciekawego szczepu Lemkow.

Koncząc watpliwoscia, czy Lancut jest naprawde jedynym posiadaczem muzeum powozow pojazdow w Europie, w co kazde wierzy autor na str. 83.

Ja mam tyle, a być może inni interesujacy sie tymi sprawami znajduja dalsze nieosciosci. W kazdym razie i tych jest az nadto, by przejść nad owym przewodnikiem turystycznym do porzadku. W kazdym bądź razie, jakze liczn milionscy Rymanowa-Zdroju beda zadowoleni, a tysiacie w wielu wypadkach bedzie wprowadzonych w blad, albo inaczej mówiac — nabitych w butelke. Za własne 10 złotych. Ciekawe, kto byl informatorem autora, szczególnie w problematyce dotyczacej Rymanowa-Zdroju?

Dlaczego autor przewodnika po Iwoniczu i Rymanowie nie raczy sie powolac na konkretne źródla pisane, bo nie ulega watpliwosci, ze te dokladne czesci publikacji sa wyraznie oparte o prace wydane wczesniej przez roznych znawcow tutejszego regionu, jak np. prof. Wl. Krygowski czy Stefan Stefański?

Łacząc dla Redakcji „Widokregu” najserdeczniejsze pozdrowienia, a sam pozostaję w oczekiwaniu na echo tych uwag.

KAZIMIERZ BOLANOWSKI
Rymanów-Zdrój, pow. Sanok

Minął doroczny Dzień Nauczyciela, skończył się czas odznaczeń, kwiatów, życzeń, zaczął czas powszedniej pracy. Świętowano ten dzień z kwiatkiem w dłoni i uśmiechem na ustach, ze słowami zyczliwości i tysiącem obietnic. Składali obietnice od siedmiolatka do maturzysty wszyscy: i ci, co przysporzyli kłopotów brakiem dobrego zachowania i dobrych wyników w nauce, i ci, którzy są w przeważającej większości, i którzy są podni miana wzorowego ucznia.

Dzień Nauczyciela kładzie się cezurą wytchnienia w całorocznej pracy grona pedagogicznego i jest zawsze na tyle imponujący w danej szkole, na ile jego wychowankowie właściwie rozumieją sens pojęcia o godziwej rozrywce, bowiem jest on swoistą wyprzedzą nabytych umiejętności oraz wrodzonych talentów.

Sprzedawali przed tygodniem również swe talenty uczniowie I Liceum Ogólnokształcącego, czyniąc z tej

wyprzedzą wzór taktu i inteligencji. Wyważyli bowiem proporcje między tradycją a współczesnością, znaleźli w tym popisie miejsce na fragmenty „Edukacji Józia Baracza” i współczesną poezję; mówili o Bardocie i tańczyli w miejsce hully gully pocziwego krakowiaka wraz z pełnym żaru ukraińskim hopakiem; pisywali się świętym chórem i najnowszą piosenką z tegorocznego repertuaru opolskiego.

Oceniali więc ich pedagodzy przed tygodniem bez zastrzeżeń na celujaco w umiarze i talencie. Toteż wcale nie zdziwią i nie zabrzmią zdawkową formulką grzecznościową słowa polonistki — mgr Stanisławy Szojowej, kończące uroczystość, że była ona powodem do radosnej świadomości, iż był to rzeczywiście jedyny dzień w roku, kiedy młodzież wyłącznie radowała swoich pedagogów,

dostarczała pozytywnych wrażeń w miejsce codziennych kłopotów.

Poza tym miłym akcentem był jednak ów Dzień Nauczyciela świętowany w najstarszym liceum Rzeszowa, powodem do paru przemysłów, które winny trwać cały rok.

Po pierwsze i po najważniejsze — padły tam słowa doświadczonego pedagoga i zarazem inspektora Wojciecha Wiśniewskiego — nader znamienne dla tego rodzaju uroczystości, że z chwilą jej przeminięcia kończy się nasze zainteresowanie szkołą, rzedną szereg jej sojuszników, rozwiewają się mity o związkach między szkołą a domem. Tych związkach, na których w końcu opiera się właściwe szerzenie oświaty. Padły te słowa w sam środek radosnej atmosfery i zadowolenia z najwyższej oceny I Liceum Ogólnokształcącego przez władze naszego miasta; po przypomnieniu jego świetnych tradycji dostarczyli nazwisk błyszczących w kulturze i nauce polskiej.

Wyduje się, że te skromne 7 dni, dzielące nas od dorocznej uroczystości, które zdążyły się zresztą już zamienić w pracowitą dla nauczycieli tydzień zwykłej pracy, winny raz jeszcze przypomnieć o nie świętecznych lecz realnych sojusznikach szkoły, raz jeszcze podać ów problem pod całoroczną rozważę. Bowiem kwiatek i wesoło zaśpiewane sto lat, są za ledwie znikomą cząstką naszego powszechnego zainteresowania szkołą, młodzieżą i jej konfliktami. Poza kurtuazyjnym gestem, istnieje jeszcze cała sfera działań sensownych, konstrukcyjnych, wymagających współuczestnictwa społecznego; istnieją formy realnej współpracy obustronnej szkoły z

domem, istnieje szansa stworzenia pomostu porozumień nauczyciela z rodzicem. I mamy na nie rok czasu, który będzie bezlitośnie sprawdzał nasze życzenia oraz dobrą wolę stron zainteresowanych w kształtowaniu pełnego człowieka, obywatela.

Wracając zaś do samej uroczystości, warto pochwalić jeszcze jedną inicjatywę I Liceum, którą było ścisłe powiązanie uroczystości z tradycją, polegające po prostu na jej uczczeniu, przypomnieniu. Toteż za świetny należy uznać pomysł byłego wychowanka Liceum, historyka mgr Józefa Świeboby, który przygotował z myślą o uczniach obszerny esej o historii szkoły, o całej plejadzie nazwisk z nią związanych. Abstrahując już od ambicjonalnych wpływów, jakie rodzi takie powiązanie dnia dzisiejszego z przeszłością, warto dodać, że nasładowujemy i podziwiamy przede wszystkim to, co dokładnie znamy i rozumiemy.

K. S.

Dzień święta na tle dni powszednich



Władysław Gomulka: O NASZEJ PARTII. KiW. s. 708, cena 20 zł.
W przeddzień V Zjazdu partii ukazały się na rynku księgarskim książki o dużym ładunku ideowym. Do nich należy omawiana pozycja. Są to głównie fragmenty przemówień i referatów, które łączy jeden temat, właśnie ten podany w tytule. Najdawniejszy tekst pochodzi z 1944 roku, ostatni z przemówienia wygłoszonego 9 lipca 1968 roku.
Władysław Kruczek: GŁOS W DYSKUSJI PRZEDZJAZDOWEJ. Rzeszów. KiW. s. 84, cena 3 zł. W serii: „Problemy, polemiki, dyskusje”.

przeobrażenia, dalsze cele partii w świetle tez zjazdowych.
Władysław Pilatowski: GŁOS W DYSKUSJI PRZEDZJAZDOWEJ. Wrocław. KiW. s. 88, cena 3 zł.
W serii „Problemy, polemiki, dyskusje”. Dwie części: pierwsza zajmuje interesowania autora jest Dolny Śląsk w okresie przedzjazdowym. Rozwojowi tego rejonu Polski poświęca więc i sekretarz KW PZPR we Wrocławiu swą pracę.
Zbigniew Madej, Józef Pajestka: PROGRAMOWANIE I PRZEWIDYWANIE PRZYSZŁOŚCI. KiW. s. 72, cena 4 zł.
W serii „Problemy, polemiki, dyskusje”. Dwie części: pierwsza zajmuje się wpływem światowych układów społeczno-ekonomicznych na perspektywy rozwoju techniki i gospodarki w Polsce, druga: to długookresowe prognozowanie i planowanie rozwoju nauki i techniki w naszym kraju.
Oto dalsze tomiki z serii: Kierunki doskonalenia gospodarki między IV a V Zjazdem PZPR.
Bohdan Gliński: ZJEDNOCZENIE A PRZEDSIĘBIORSTWO. KiW. s. 56, cena 3 zł.
Ryszard Farlat: PROBLEMY ORGANIZACJI PRODUKCJI W PRZEMYŚLE. KiW. s. 60, cena 4 zł.

Janusz Obodowski, Stanisław Spotań: PRACA I PLACA. KiW. s. 128, cena 7 zł.
Mieczysław Solecki: POLITYKA ROLNA. KiW. s. 64, cena 4 zł.
Wszystkie podane wyżej pozycje można wykorzystać w szkoleniu partyjnym. Każda podaje na końcu bibliografię.
PATRIOTYZM, IDEOLOGIA, WYCHOWANIE. Dyskusja na temat patriotycznego i internacjonalistycznego wychowania. MON. s. 192, cena 10 zł.
Jest to autoryzowany stenogram dyskusji zorganizowanej w redakcji czasopisma „Wychowanie” dnia 5 kwietnia 1968 roku. Zawiera 23 głosy. Pozycja bardzo przydatna nie tylko nauczycielom przedmiotu „wychowanie obywatelskie”.
Jacek Machowski: PRAWA CZŁOWIEKA. Zagadnienia współpracy międzynarodowej. KiW. s. 294, cena 25 zł.
Książka wydana została z inicjatywą Towarzystwa Przyjaciół ONZ w Polsce z okazji Międzynarodowego Roku Praw Człowieka, który obchodzimy w 1968 roku. Ta naukowa praca zawiera streszczenia w językach: rosyjskim, angielskim i francuskim.
HISTORIA Powszechna, T. 5.

Red. przekł. pol. M. Morkowicz. KiW. s. 868, cena 150 zł.
Piątą z dziesięciu zapowiadzanych tomów zajmuje się angielską rewolucją burżuazyjną, krajami Azji w II połowie XVII i I połowie XVIII wieku, gospodarczym i politycznym rozwojem Europy w wieku XVIII z uwzględnieniem wojny o niepodległość kolonii angielskich w Ameryce Północnej. Jak zwykle wiele różno i jednobarwnych ilustracji i map.
DOKUMENTY KOMUNISTYCZNEJ PARTII POLSKIEJ. 1935-1938. Oprac. S. Ajzner, Z. Szczygielski. KiW. s. 344, cena 48 zł.
Zakład Historii Partii przy KC w 50-lecie powstania Komunistycznej Partii Polski prezentuje dwa typy dokumentów: uchwały, apele, deklaracje, oświadczenia i listy oraz dokumenty wewnętrzpartyjne, nielegalnej już wówczas partii.
Józef Grudziń: POLITYKA WYZNANIOWA W PRL. Główne zasady i zagadnienia. KiW. s. 68, cena 4 zł.
W serii: „Podstawy Wiedzy Społeczno-Politycznej”. Dla nauczycieli i wykładowców szkolenia partyjnego.
Mieczysław Tomala: DWIE DROGI ROZWOJU NIEMIEC. MON s. 260, cena 12 zł.

Autor zajmuje się ekspansywnym charakterem polityki NRF, polityką wschodnią, przemysłem zbrojeniowym i stosunkami: NRF a NATO. Obnaża sposoby ideologicznego „urabiania” społeczeństwa, zastanawia się czy jest inna droga dla NRF, w ogóle — jaka będzie przyszłość Niemiec. Pokazuje również stosunki między NRD a Polską oraz Polski punkt widzenia na sprawy Niemiec.
Władysław Góralski: FILIPINSKIE DOŚWIADCZENIA. KiW. s. 228, cena 20 zł.
Ten zbiór reportaży pokazuje kraj obejmujący ponad 7 tys. wysp w przekroju historycznym. Spora część poświęcona sprawom współczesnym. Johannes Urzidil: WIELKIE ALLELUJA. Przel. Wanda Kragen. Wyd. Literackie s. 390, cena 30 zł.
Autor pisze w dwóch językach: niemieckim i angielskim. Mieszka w Stanach Zjednoczonych. Omawiana pozycja to jakby przekrój przez społeczeństwo USA. Powieść wielowalutowa. Utrzymała się długo na liście bestsellerów literatury amerykańskiej.
Wilhelm Weiting: GWARANCJE HARMONII I WOLNOŚCI. Wstęp i przyniś M. Siemek. Przel. E. Wiertel. KiW. s. 520, cena 60 zł.

Kartki dla Ewy

Elegancja

Zestawiały się nad nią damy z epoki kamienia łupanego przyodziewając grzbiet w niedźwiedzie skóry. W 20 wieku odpowiedź usiłują dać wielcy projektanci mody i krawcowe — polatajki. Mimo połączonych wysiłków i twórczego ruszania mózgowicą tajemnica została niezłębiona.

Jedna pani wygląda w super mini całkiem, całkiem... Mężczyźni gapią się jak cielęta. Inna, niby podskubana kaczka, tylko okoliczne psy ją obszczekują.

Pewien pan nosi brodkę, cwikiery i 19-wieczny surducik. Intelktualista! Studiuje zagraniczne żurnale, a w braku tychże — „Modę Męską”, „Wykroje i Wzory”. W domu przed lustrem przeży tors, szczotkuje baki. Ma się ten szyk.

Chłopię z grywą mustanga chodzi w kwiecistej koszulce i spodniach z niemowlęcej flanelki. Używa pudru, czótenek siostry i dewizki dziadka. Inni się śmieją? Z zazdrości?!

Gdzieś tam w świecie, ludzie którzy się nudzą i mają za dużo pieniędzy układają tabele najlepiej ubranych kobiet. Organizują konkursy urody osobników płci obojga. U pań, między innymi ważna talia i pęciny. Niewskazane odstające uszy u panów. Kłatkę piersiową od biedy wymodeluje krawiec. Elegancki ciuch, futro, biżuteria, Mercedes lub Jaguar na dodatek. Dziś taki styl, jutro inny — zmienia się wszystko jak w kalejdoskopie.

A my spokojnie sobie dalej nicujemy odświętną sukienkę. Przedtem była poszerzana, teraz rura. Jesteśmy zadowolone, bo materiał owszem, owszem, dziur na łokciach nie ma. Będzie w przyszłości kamizelka dla wnuka.

Rozsądna kobieta nigdy zbytnio nie przejmuje się modą. Nie sposób zresztą nadążyć za wszelkimi nowościami, ale koniecznie trzeba wiedzieć o aktualnych liniach. Tych zwykle jest kilka. Kwestia długości np. nosi się mini, maxi i midi. Midi sięga kolan i jest dobra dla wszystkich. Nie sztuka przydużyć odzież do pół tydki lub skrócić po pachwiny. Sztuka w tym wyglądać jak z żurnala, a nie z panoptikum. A tak, niestety, często się dzieje. Zapominamy o właściwościach kroju odrębnych dla każdej mody.

Tej zimy nosić się będzie spodnie w połączeniu z sukienkami lub długimi bluzkami, bezrękawniki, swetry-golfy, kamizelki, grube szale i pilotki. Bardzo mądre projekty. Nie żyjemy w Biaritz, tylko w kraju, gdzie bywa śnieg i mróz. Przestrzegam jednak przed wystrzyganiem rękawów w starych sukniach, noszeniem spodni dorastającego syna i męzowskiego swetra. To nie ma nic wspólnego z elegancją, a jeśli przerabiać, to wiedzieć co i jak. Domorośle wytwory krawieckie często nas oszpecają. W kreacjach sprokurowanych własnym przemysłem, dotwarzy jest tylko nastolatkom. Donaszanie przy kuchni staromodnych ubrań jest przyczyną rozwodów. Pozwólmy łachom umrzeć naturalną śmiercią. Szmaty są potrzebne również... do ścierania kurzu. Lepiej mieć mało rzeczy, ale aktualnych. Trzeba pamiętać o doborze barw, odpowiednich dla karnacji, koloru włosów, tuszy i wieku. Starsze panie nie muszą chodzić w czerni, a dzieci w kolorach landrynek.

O elegancji świadczy całe mnóstwo drobiazgów. Nie wolno nosić więcej niż dwa dodatki w tym samym kolorze. Wystrzałowy kapeluszek przy starym płaszczu podnosi tylko nasze samopoczucie, ale lepiej poprzestać na chusteczce. Buty winny harmonizować z torebką, rekawiczki z kolorem pończoch. Dla kontrastu nosi się kolorowe apaszki, ozdobne paski i brosze. Nawet podszewka płaszcza ma swoje znaczenie. Wiedząc o tym wszystkim i tak popełniamy błędy. I może one właśnie świadczą o naszej indywidualności?!

BEGA

Na naszym ekranie

Zwycięstwo

Reżyser Jerzy Passendorfer zakończył pierwszą część żołnierskiej epopei „Kierunek Berlin”. Pokaz filmu odbył się 10 października w żerańskiej Fabryce Samochodów Osobowych, gdzie twórcy spotkali się z aktywnym zalogi oraz w jednej ze szkół oficerskich. Była to jednak prapremiera „nieoficjalna”, bowiem film ujrzymy na ekranach dopiero w styczniu — w rocznicę wyzwolenia Warszawy.

Twórcy „Kierunek Berlin” — reżyser Jerzy Passendorfer, scenarzysta — Wojciech Żukrowski i operator Kazimierz Konrad — otrzymali nagrodę I stopnia Ministra Obrony Narodowej z okazji 25-lecia ludowego Wojska

Polskiego. Laureaci pracują obecnie nad dalszym ciągiem filmu o żołnierzach słynnej Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Będzie on nosić tytuł „Zwycięstwo”. Początkowo zamierzano zrealizować film dwuczęściowy, ostatecznie zdecydowano, że powstaną dwa filmy, przeznaczone do oddzielnego wyświetlania. Choć każdy z nich będzie stanowił dramaturgicznie zamkniętą całość — łączyć je będą wspólni bohaterowie: kapral Naróg (Wojciech Siemion) i jego towarzysze broni, żołnierze, którzy przeżyli forsowanie Odry, a przede wszystkim wspólna dla obu filmów idea, ukazanie losu żołnierza, jego trudu i poświęcenia w drodze

po zwycięstwo. „Kierunek Berlin” (o filmie tym pisaliśmy w DSP nr 21 (68) obejmuje okres działań wojennych od 10 do 20 kwietnia 1945 r., „Zwycięstwo” ukaże wydarzenia, które nastąpiły po przekroczeniu Odry i doprowadzi akcję do Berlina.

„Zwycięstwo” będzie filmem bardziej optymistycznym w nastroju niż „Kierunek Berlin”. Ten optymizm jest już zawarty w tytule. Kończy się wojna. Kościuszkowcy powrócą teraz do swych domów lub — jeśli nie mają dokąd wracać — zostaną na Ziemiach Odzyskanych i rozpoczną życie od nowa. Trudno rozstawać się z żołnierzem, który przeżył razem z wojną. Jeszcze „rodzinna” fotografia pod Bramą Brandenburską, jeszcze ostatnie pożegnania i Wojtek Naróg zostaje sam. Oczywiście, wróci do swej rodzinnej, kieleckiej wsi, ale jak potoczą się jego dalsze losy? Na wojnie nie

odniósł wprawdzie szalonych sukcesów, nie wstawił się nadzwyczajnym bohaterstwem, pozostał kapralem, podczas gdy inni awansowali, ale czy radość zwycięstwa można mierzyć paskami i gwazdkami na naramiennikach? Wojtek Naróg jest szczęśliwy, ale żal mu rozstawać się z ludźmi, z którymi się żył i których traktował jak braci. Jeszcze jeden „skręt” na stercie gruzów i w drogę... ale czy nim dotrze pod Kielce — nie dołączy do innego oddziału? Przypomnijmy sobie inny film J. Passendorfera „Skapani w ogniu”, który łączy się tematycznie z „Barwami walki”, „Kierunkiem Berlin”, „Zwycięstwem”. Kapral Wojtek Naróg był tam niezastąpionym adiutantem kapitana (Stanisław Mikulski) i gdyby nie on, jego trzeźwość umysłu i szalone na pozór pomysły, wiele akcji skończyłoby się niepowodzeniem.



JANINA RYBIENNIK — długoletni pracownik Domu Książki w Przemyślu. Rys. J. SIENKIEWICZ



„ERGONOMISTA”: Wiersz nieszkodliwy, lecz bez rewelacji. Składa się ze zręcznych, nawet dość oryginalnych sformułowań, które jednak nie komponują się w zwartą całość myślową lub nastrojową.

„SAND”: Za dużo sentymentalizmu i taniej, wtórnej liryczności w pańskich próbach poetyckich. Jest w nich i wyliczana jesień i babie lato i krwawe liście, tęcza naszych pragnień, rozchylone płatki róż i sporo innych poetyckich banatów. To wszystko już wielokrotnie w poezji było.

N. O. RZESZÓW: Niestety, nie podoba nam się ani pompacyjny tytuł wierszyka („Ludzkość spod znaku Pokoju”), ani zwroty: kwiat przyjaźni, nitka szczęścia, igła miłości, kropki dobroci czy szczyt uczuć”. To są niestety, typowe objawy grafomanstwa.

„JAN KADUK”: Nie skorzystamy z wiersza „Do ludzi”. Sądzymy, że jego adres jest zbyt ogólnikowy a jego pytania zbyt retoryczne. Po co stawiać pytania, na które nigdy nie można oczekiwać żadnej odpowiedzi. Kto ludziom dał prawo śmierci i krwi? — Ba! właśnie — kto i dlaczego?... Musimy pana

zmartwić — redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów.

XERXES: Lepiej chyba nie popuszczać cugli rumakom myśli — jak pan pisze w wierszu, bo za nadto brykają i wiodą na bezdroża. Bo cóż to znaczy, że ruszyły one (myśli) z kopyta przez ogniste pole Widm, albo, że ugięły się pod ciężką falą Mrocznego Oceanu?... To wszystko dla nas zbyt mgławicowe i alegoryczne.

M. M. W. — DĘBICA: Nazywa pan swój utwór opowiadaniem, a daje mu graficzny układ wiersza. Poza tym, czy sądzi pan, że leczenie katza kilinem w gospodzie, relacja o niewiernej dziewczynie i spotkanie z matką już same w sobie stanowią wystarczający materiał do utworu literackiego? W pańskim utworze brak jednak jakiegokolwiek stosunku do tych zdarzeń. Nie skorzystamy.

T. P. GORLICE: Trzeba jeszcze dużo nad swoimi wierszami popracować. Teksty, które otrzymaliśmy są dość kulturalne, ale ubogie w realia, w obrazy i w ciekawsze skojarzenia. Za dużo w nich ogólnikowości i niekiedy — cytuję: „I noc rozplynie się w wiecznej jasności // czy czas // rozplacze twój blask? // Bo kiedyś może // wszystko // stanie się smętne // gluche // znikną świątynie wiecznej chwili //” lub: „nie wiem gdzie jestem // jak // coś znika // coś nie wiem // coś staje się // i gonię to...” itd. Przecież w tych próbach brak jakiegokolwiek konkretów, jakiegokolwiek rzeczy sprawdzalnych i dożytkalnych.

ZDARZENIA TYGODNIA

Zgodnie z założeniami regulaminu VII Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej rozpoczęły się już eliminacje środowiskowe, tj. w szkołach, zakładach pracy, poszczególnych branżach itp. Najlepsi ich uczestnicy (po zgłoszeniu się w zarządach powiatowych TPPR lub PDK) wezmą udział w eliminacjach powiatowych, które odbędą się w styczniu i lutym przyszłego roku.

Zainteresowanych informujemy przy okazji, że wszelkich informacji w sprawach organizacyjnych i repertuarowych udziela ZW TPPR, a potrzebne materiały można nabyć w księgarni muzycznej przy ul. Słowackiego w Rzeszowie.

W dniu 26 listopada br. odbyła się w Przeworsku sesja Powiatowej Rady Narodowej, poświęcona omówieniu wykorzystania obiektów kulturalnych i sportowych w wychowaniu młodzieży.

Radni przeanalizowali także stan sieci i urządzeń kulturalnych, potrzeby w tym zakresie, ze szczególnym uwzględnieniem miasta Przeworska. Przyjęta uchwała precyzuje dalsze kierunki działalności w dziedzinie wychowania młodego pokolenia i realizacji zadań wynikających z uchwały V Zjazdu PZPR.

Rozwojowi kultury i dalszemu jej upowszechnianiu poświęcona była również sesja w ubiegłym tygodniu wspólna sesja MRN i MKZZ w Rzeszowie.

Podstawę do dyskusji stanowiły referat i koreferat, oceniające aktualny stan w zakresie kultury na terenie miasta wojewódzkiego oraz wskazujące kierunki dalszego jej rozwoju. Podjęta uchwała zawiera zalecenia w sprawie treści i form pracy kulturalno-oświatowej oraz wytyczne do realizacji planu rozwoju bazy materialnej.

W ubiegłą niedzielę odbyło się w Rzeszowie plenarne posiedzenie Zarządu Okręgu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich.

Na porządek obrad złożyły się m. in. informacja o działalności Zarządu Okręgu za okres ostatniego półrocza oraz omówienie wytycznych do działalności oddziałów powiatowych, wynikające z uchwały VI Zjazdu Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich i V Zjazdu partii.

W ubiegły poniedziałek w klubie WDK „Turkus” w Rzeszowie w ramach teatru propozycji odbył się spektakl pt. „Opowiadania o ZOO” E. Elbee’go. Program przygotowali aktorzy Państwowego Teatru im. W. Sienkiewicza.

Na terenie tej samej placówki w ramach kolejnego „czwartku literackiego”, zorganizowanego przez Oddział ZLP, WDK i WIMBP odbyło się spotkanie z Tadeuszem Siliwakiem. Wygłosił on prelekcję pt. „W kręgu spraw poezji współczesnej”. Poeta odczytał również swoje nowe utwory.

Rzeszowskie Społeczne Ognisko Muzyczne obchodził w tych dniach 15-lecie swego istnienia.

W piątek, tj. 29 listopada, w Zakładowym Domu Kultury WSK odbyła się z tej okazji uroczysta akademii, podczas której kierownik placówki Walerian Lesiński wygłosił referat, obrazujący dorobek ogniska. Uroczystość uświetnił koncert orkiestry Państwowej Filharmonii im. Artura Malawskiego pod dyrekcją Tadeusza Chachaja.

Mija już 6 rok od chwili rozpoczęcia akcji tworzenia klubów „Ruch”. Przypominamy o tej rocznicy z okazji kolejnego jubileuszu, jakim jest otwarcie w województwie 4-setnej tego typu placówki. Uroczystość ta odbędzie się 1 grudnia br. w Łukowej, pow. Leżajsk.